

DLA MATEUSZKA



Janina Borowiczowa

Postanowiłem napisać pamiętnik. Nie jestem młodzikiem-można nawet śmiało powiedzieć, że wiek dojrzały dawno już mam za sobą. Zamiast więc biegać jak za młodu, wolę sobie poleżeć w ciepłe, zwłaszcza zimą, najlepiej koło kaloryfera. A najnajlepiej-w kuchni. Ach, jakie tam są smakowite zapachy! Czasem spadnie nawet jakiś nadprogramowy kąsek mięsa. Tam mi się również najprzyjemniej rozmyśla. O nie, nie nudzę się, jak może podejrzewacie. Nudzi się tylko ten, co ma pusto w głowie. Istota myśląca posługuje się swoim rozumem i zawsze znajdzie ciekawe zajęcie, a nie męczy: „Maamooo, ja się nuudzęęę, maa-mooo, w co ja się mam baawić, maamooo, ja chcę do koleegiii...”

No, dość tego gadulstwa, przystąpmy ad rem, czyli do rzeczy. Zdziwiłem Was, co? Potrafię posłużyć się także łaciną, i owszem (skąd ją znam, dowiecie się później).

A więc ja, mały piesek imieniem Pikus, postanowiłem napisać pamiętnik. Nie będzie to taki typowy pamiętnik-po prostu chciałbym moim psim i ludzkim przyjaciółom i kolegom opisać niektóre przygody, jakie przeżyłem, i spostrzeżenia, jakich dokonałem w ciągu dość długiego życia.

Mówicie, że to niemożliwe? Że pies nie umie pisać? Ho, ho-to, że nie widzieliście piszącego psa, nie jest jeszcze żadnym dowodem. Witamin także nie widzieliście, a wiecie, że istnieją. Może więc umiem pisać, może nie umiem, może komuś dyktuję... Znowu mi nie dowierzacie? Że co, że ja nie umiem mówić? No, tu już się bardzo mylicie, bo my, psy, swój własny język mamy od zarania psich dziejów, tylko ludzie nie zadają sobie trudu, żeby go się nauczyć. My, psy, język ludzki rozumiemy doskonale. I to każdy-polski, francuski, angielski czy jaki tam chcecie. Przecież spełniamy każde ludzkie polecenie, wszystkie rozkazy, prośby, prawda? A Wy tylko słyszycie nasze „hau, hau”. Przyznacie chyba, że jak na ludzki rozum, to trochę mało. Toteż często nie rozumiecie nas, naszych radości, smutków, pragnień i tęsknot, naszych przeżyć, przygód, całej naszej psiej doli-niedoli. Czy domyślacie się już teraz, dlaczego wpadłem na ten pomysł?

Przeżyłem sporo lat, nie mam już tyle sił, co kiedyś, trochę

6

mi dokuczają reumatyzm, nie chce mi się biegać z innymi pieskami ani gonić kury i straszyć kotki, wolę opisać Wam moje dzieje.

Mam dziesięć lat, co odpowiada ludzkim siedemdziesięciu, bo znawcy obliczyli, że na każdy rok życia psa przypada mniej więcej siedem lat człowieka. A ponieważ $10 \times 7 = 70$, wynika z tego, że jestem w wieku niektórych waszych dziadków.

Urodziłem się na wsi. Moja mama nazywała się, jak każda szanująca się suka, Aza i była dorodnym, dużym psem, podobnym do owczarka niemieckiego, czyli do wilka, jak się powszechnie mówi. Mój tatuś, imieniem Burek, też był słusznego wzrostu, o bardzo kolorowej, kudłatej sierści szaro-buro-czarno-biało-żółtej. Mama urodziła nas sześcioro. Ja przybyłem na świat ostatni.

Maleńki i całkiem żółciutki. Nie wiadomo, po kim. Mama ze zdumieniem wodziła za mną oczami, dziwiąc się i mojej sierści, i małemu wzrostowi. No bo jakże to tak? Bracia i siostry szybko rosły i w krótkim czasie stały się silnymi, dużymi, prawdziwymi psami łańcuchowymi, a ja pozostałem malutki i żółciutki. Co z takim na wsi robić? 5^czasem moja sierść straciła miękkość i kolor puchatego kurczątko i nabrała, co tu dużo mówić, szorstkości i rudości. Dlatego wszyscy przezywali mnie rudzielcem.

Mama niepokoiła się mną nie na żarty. Wreszcie któregoś dnia zawołała mnie i tak powiedziała:

7

- Posłuchaj, Pikusiu, życie psa na wsi nie jest łatwe. Nie jesteśmy tutaj od parady. Musimy pracować i zarabiać na swoje jedzenie. Twoje rodzeństwo już rozeszło się do rozmaitych gospodarzy, a ciebie nikt nie chce. Mówią, że jesteś za mały. I jakiś taki nieudacznym. Myślę, że mają trochę racji. Pewnie to moja wina... Bardziej przypominasz niefrasobliwe, małe kurczątko niż poważnego psa. I może właśnie dlatego za bardzo ci pobłażałam i za długo pozwalałam się bawić. A rezultat jest taki, że w głowie masz tylko psie figle, bieganie po lesie i zabawy. Ale tak dłużej być nie może. Nasz gospodarz nikogo nie żywi za darmo. Bardzo bym chciała, żeby cię zatrzymał, ale w tym celu musisz mu pokazać, że jesteś pracowitym, ostrym, odważnym i rozumnym psem. Musisz też tak postępować, żeby i inne psy traktowały cię poważnie. Inaczej zginiesz, zagryzą cię przy pierwszej bójce, nie mówiąc już o tym, że stale będą się z ciebie naśmiewać. Mama miała rację. Wiedziałem o tym. Więc jak mogłem, starałem się przekonać gospodarza, że zrobi niezwykle korzystny interes, jeżeli mnie zatrzyma. Wszelkimi sposobami starałem mu się przypodobać. Patrzyłem mu wiernie w oczy, schodziłem z fcrogi, kiedy był w złym humorze. Wesołym szczekaniem i merdaniem ogonkowym zachwycałem się wszystkim, co robił. Aż mrużyłem oczy z podziwu nad każdym jego słowem. Nadaremnie. Gospodarz patrzył na mnie niechętnie i spode łba.

Przykro mi było, jednak lekkomyślna młodość nie pozwa-

8

•r

łała się długo martwić. Świat był taki piękny i ciekawy! Życie bez obowiązków tak nadzwyczaj cudowne! W lesie tak upojnie pachniało, ptaki swoim śpiewem tak prowokowały do droczenia się z nimi, a tropienie lisich nor czy szukanie leśnej zwierzyny tak niezwykle nęciło!

Pomyślałem więc sobie: „Jakoś to będzie, psia noga”-i przestałem się martwić. Marzyłem, że w czasie leśnych wędrówek spotkam myśliwego, który zrobi ze mnie psa do polowania. Chodziłbym z nim na długie wyprawy i wystawiał zwierzynę albo dzikie ptactwo. Niestety, myśliwego nie spotkałem, za to pewnego dnia...

- Jak długo ten darmozjad będzie się tu kręcił?!-krzyknął gospodarz do swojej żony. - Wystarczy Aza. Dobrze pilnuje gospodarstwa, jest spokojna, obcych potrafi przepędzić. Po cóż nam jeszcze ten Pikus? Dwa psy to za dużo. Nie ścierpię w moim domu takiej psiarni! Oddaj go komu, Maryśka, bo jak nie, to przepędzę.

- Tatusiu, zatrzymajmy go, ja go bardzo lubię! On taki pocieszny. Pozwól, żeby został-prosiła dziesięcioletnia Kasia, gospodarska córeczka.

- Nie będę dwa razy powtarzał - oświadczył ponuro jej ojciec.-Znajdź mu gospodarza, może kto weźmie tego żółtka.

* Przestraszyłem się. My, psy, nie możemy niestety same decydować o swoim losie. Jesteśmy całkowicie zależne od ludzi.

9

Jeżeli trafimy na dobrych-i nasze życie jest dobre. Jeżeli jednak • trafimy na złych-nasze życie to jeden wielki koszmar. Poznajemy wtedy głód, chłód i bicie.

Mama patrzyła na mnie oczami pełnymi łez. Cóż mogła poradzić ? Nie była w stanie pomóc swojemu małemu synkowi. Ale minęło kilka dni i nic się nie zmieniło. Znowu więc machnąłem na wszystko łapą i pobiegłem do lasu.

Ganiałem właśnie jakieś wiewiórki, które wyraźnie mnie prowokowały, kiedy usłyszałem głos Medora. O, to był bardzo niesympatyczny pies. Zazdrosny, pyszałkowaty i stale skory do bójki. A taki wielki, że z łatwością mogłem się pod nim zmieścić. Zawsze się ze mnie wyśmiewał. Nie cierpiałem go.

- Hej, jajecznicu (najczęściej kpił z mojej maści), dokąd to pędzisz na tych twoich krzywych łapskach? Wiewiórki ci się zachciało? Oj, bo pękne ze śmiechu! On i wiewiórki! Ty nawet żółwia nie dogonisz, a co dopiero wiewiórki, ruda pokrako!

I zaczął się turlać i tarzać ze śmiechu po ziemi. Poczulem, że wzbiera we mnie wściekłość. No nie,

dosyć tego! Mama mnie przecież uczyła, że mam być ostry. Teraz mu pokażę! Tylko... tylko jak?! Medor to olbrzym. Może lepiej udać, że mnie to nic a nic nie obchodzi? Może lepiej spokojnie odejść? Ale ten bezczelny, wielki pies coraz głośniej się ze mnie śmiał. Ze mnie!

- Oj, nie wytrzymam, już mnie brzuch boli ze śmiechu. Ta

10

niedojda, ten maluch, cha, cha, cha, chi, chi, chi, chce dogonić wiewiórkę!

Niedojda? Maluch? Rozwścieczyło mnie to ostatecznie. Nie namyślając się dłużej, runąłem na Medora i wbiłem zęby w jego tylną łapę. Potem w drugą. Duże psy nigdy pierwsze nie atakują małego-takie mamy obyczajnie-ale zaczepione, nie znają litości.

Medor w pierwszej chwili osłupiał, jakby nie dowierzając temu, co się stało. Potem oczy mu zabłyśły, w gardle zabulgotało, zerwał się z obnażonymi kłami i... zaczął się kręcić za własnym ogonem. Boja właśnie się do niego przyczepiłem. Medor wirował, a ja na jego ogonie fruwałem jak na karuzeli. Rozegrałem to wspaniale! Bo jak już puściłem ogon, to podgryzałem mu tylne nogi, a potężne psisko nie mogło mnie dosięgnąć swymi zębami. Był wprawdzie dużo silniejszy, za to ja byłem szybszy. A żeby sobie jeszcze dodać odwagi, pokrzykiwałem buńczucznie:

- Jeszcze poznasz niedojdę! Jeszcze poznasz malucha! Nikogo się nie boję! Nikomu nie pozwolę się ze mnie naśmiewać!

Medor usiłował capnąć mnie za wszelką cenę. Kręcił się to w jedną, to w drugą stronę, dawał susa do przodu, potem nagle zawracał, robił przedziwne łamańce głową, szyją i całym tułowiem. Nic z tego! Był za wysoki i za duży. Nie mógł mnie dopaść, bo

11

cały czas znajdowałem się po prostu pod nim. Po raz pierwszy poczułem smak walki i przeczucie zwycięstwa. Tak, ja, mały Pikus, z którego dzieci wiejskie się śmiały, że jestem ni to lisek, ni nornica, ja, mały leśny włóczęga, odważyłem się zaatakować największego psa w okolicy i zwyciężyć go! Tak, zwyciężyć! Bo oto po kilkunastu minutach tej cudacznej walki muchy ze słoniem Medor zaczął ciężko posapywać, wyraźnie zmęczony i zdegustowany przebiegiem starcia.

- Ooo, ałem się naskakał, no dość już tych igraszek. Żebyś sobie tylko nie myślał, że traktowałem to wszystko na serio. Jednym kłapnięciem zęba mógłbym cię rozerwać na drobniutkie kawałeczki, ale po cóż miałbym to robić? Prawda? No, złaż już z mojego ogona, bo mi się znudziła ta zabawa.

Pójdę teraz nad rzekę, pić mi się zachciało.

Ostrożnie, nie bardzo mu dowierzając, rozluźniłem zęby i puściłem ogon. Cały spięty czekałem na kontratak Medora. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Medor się przeciągnął, udał znudzonego, ziewnął i powolnym krokiem skierował się w stronę rzeki. Początkowo szedł wprawdzie pomału, ale sprężysto i elastycznie, a potem, kiedy myślał, że już go nie widzę, zaczął mocno kuśtykać. Zęby mam bowiem małe, ale ostre.

Rozpierała mnie duma. Odniosłem pierwsze zwycięstwo! I to nie nad byle kim! Wydawało mi się nawet, jakbym trochę urósł. Zachwycony sobą i całym światem wróciłem do domu. Jak

12

najszybciej chciałem się pochwalić mamie i w ogóle wszystkim, jaki ze mnie chwata.

Mamy nie było. Poszła na pole pilnować krów. Za to był gospodarz, i to w bardzo złym humorze.

- Jeszcze się tu płaczesz, niedorostku?! Jazda stąd, darmożjadzie, nie będziesz mi się tu stale wiercił bez potrzeby! Nie będę ci za nic dawał zreć! Żebyś cię tu więcej nie widział! -rzucił we mnie kawałkiem drewna.

Zaskowyczałem, choć tak naprawdę wcale mnie nie zabolalo, bo we mnie nie trafił. Spuściłem łeb, podkuliłem ogon i poszedłem przed siebie.

„Czy to moja wina, że jestem taki mały? Że nikt mnie nie chce? Że nie wierzy, iż mogę się przydać? Może gdyby była Kasia, ubłagałaby ojca i zostałbym przy mamie. Przecież tak niewiele mi trzeba. Trochę stawy byle jakiej i ciepły kąpiel-rozżaliłem się.-(Muszę wam bowiem wyjaśnić, że dopóki ludzie nas nie zepsują i nie rozpieszczą, potrafimy żyć bardzo skromnie). Za to byłbym najwierniejszym i najodważniejszym psem. Mały jestem, ale jaki odważny. Potrafiłbym obronić gospodarstwo przed każdym wrogiem"-rozmyślałem chełpliwie, wędrując miedzami.

Kiedy dziś myślę, jaki wtedy byłem po dziecinnemu zrozumiąły, porządnie mi wstyd.

13

Wędrując tak polną ścieżką spotkałem Tereskę, córkę sąsiadów. Bardzo ją lubiłem. Często się ze mną bawiła i dawała herbatnik albo ciasteczko. Teraz jednak nie podbiegłem do niej w szczeniackich podskokach, tylko pomerzałem ogonkiem, ale i ten objaw radości wypadł jakoś smętnie.

- Dlaczegoś taki smutny, Pikusiu? Chodź no tu, piesku, patrz, mam dla ciebie wspaniałą kość z rosołu.

Podbiegłem grzecznie, ale nawet kość nie była w stanie mnie rozweselić. Chrupałem ją, owszem, nie miała jednak tyle smaku co zawsze.

- Pikusiu, co się stało? Nie smakuje ci kostka?

- Hau, hau, smakuje, jest pyszna, ale mam wielkie zmartwienie. Gospodarz mnie wyrzucił. A ja nie mam dokąd iść. Nie mam własnego domu.

I wszystko Teresce opowiedziałem.

Znowu widzę po Waszych minach, że mi nie wierzycie. Że niby w jakiś sposób dziewczynka mogła zrozumieć, co ja, pies, jej naopowiadałem. Straszne z was niedowiarki. A przecież na pewno słyszeliście, że w Noc Wigilijną wszystkie zwierzęta mówią ludzkim głosem. No widzicie. Dodam jeszcze w sekrecie, że kiedy ludzie mają prawdziwie poważne zmartwienie, to bardzo wiele piesków ich rozumie i stara się pomóc, a jak pieski mają prawdziwie poważne zmartwienie, to niektórzy ludzie też je rozumieją i chcą pomóc. I takich ludzi my niezwykle kochamy i

14

pomagamy im w miarę naszych psich sił i możliwości. O, gdyby wszyscy ludzie zechcieli nauczyć się naszej mowy, życie byłoby dużo łatwiejsze!

Właśnie Tereska, która kochała zwierzęta, rozumiała psią mowę. Prócz niej w moim życiu pojawiło się jeszcze kilka osób, z którymi świetnie potrafiłem się porozumieć. Opowiem wam o nich później. Tereska troszkę nade mną popłakała, ale szybko otarła łzy i rzekła stanowczo:

- Nie martw się, Pikusiu. Pójdziesz teraz do mnie, a ja ci zrobię posłanie w kąciku stodoły. Będziesz tam miał ciepło, zawsze ci coś przyniosę do jedzenia, nie będziesz więc głodny. Tylko musisz uważać, żeby mój tatuś cię nie zobaczył-tu Tereska przerwała na chwilę, zrobiła smutną minę i jakby się troszkę zawstydziała.-Wiesz przecież, jaki jest mój tatuś.

Wiedziałem. Nieraz słyszałem awantury dochodzące z ich domu. I nieraz widziałem zabeczaną Tereskę i jej mamę. Bo-nie lubię wprawdzie nikogo obgadywać, ale muszę to wyznać-tatuś Tereski niestety często zaglądał do kieliszka. I to zbyt często. A potem był dla Tereski i jej mamy niedobry. Z wdzięcznością przyjąłem pomoc Tereski. Żebym się tylko miał gdzie podziać chociaż przez kilka dni! W tym czasie może znajdzie się dla mnie jakieś miejsce na stałe.

Kiedy zbliżyliśmy się do Tereskowego domu, moja przy-

15

jaciółka poszła zobaczyć, czy droga jest bezpieczna, a ja wsunąłem się w krzaki koło płotu.

Wczołgałem się więc w te krzaczki, niezbyt mi było wygodnie, zwłaszcza że wlałem na mrówczą ścieżkę, po której mrówki nosiły jakieś słonki, grudki ziemi, żdźbła i inne drobiazdki, bardzo im tam do czegoś potrzebne. Nakrzyczały na mnie, że im niszczą drogę i żebym się wynosił. Westchnąłem ciężko: Pieska twoja niebieska, zewsząd mnie wyganiają. Co za los! Ale nie miałem czasu ani pokłócić się z mrówkami-zresztą słuszność była po ich stronie-ani rozżalać się nad sobą, bo właśnie Tereska mnie zawołała.

Wbiegłem na podwórze i zobaczyłem ją obok mamy.

-No widzisz, Pikusiu, głowa do góry, nie ma się czego martwić. Mama się zgodziła, żebyś tu został. Tylko pamiętaj, nie możesz się pokazać tatusiowi! Tatuś by nie pozwolił. Może pomału da się przekonać.

Przyszłość pokazała, że nie dał.

Bardzo zadowolony poszedłem za mamą Tereski do stodoły. Tam w jakimś zakamarku rozłożono mi worek i starą derkę.

-Tu będziesz bezpieczny-rzekła mama Tereski.-Ta deska świetnie cię zasłania. Zaraz dostaniesz

mleka.

Nie bardzo lubię mleko, ale nie wypadało mi grymasić, więc pomerdałem elegancko ogonkiem i polizalem moją dobro-

16

dziękę po rękę, a ona mnie pogłaskała po głowie. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie i jakoś rzewnie.

Rozejrzałem się dookoła, obwąchałem wszystkie kąty. Pachniało myszami i kotem. Muszę wyznać, że nie przepadam za nimi. Zwłaszcza myszy mnie denerwują. Biegają to tu, to tam, wpatrują się w ciebie okrągłymi jak maciupkie guziczki oczkami i nie możesz się z nimi dogadać. Udają zawsze strasznie zaaferowane, mówią, że mają moc roboty, że nie mają czasu, a wiem przecież, że tylko patrzą, gdzie by tu co pogryźć. To trochę marchewki, to kawałek sera, nawet papier potną ostrymi ząbkami i tylko naśmiecą.

Koty natomiast to zupełnie co innego. Dumne, zasadnicze, piękne i bardzo groźne dla psów. A tak, groźne, choć przeważnie dużo od nas mniejsze. Za to piekielnie odważne. Pierwsze nigdy nie zaczepią, ale w niebezpieczeństwie potrafią się rzucić na najpotężniejszego wroga, prychając i drapiąc mocno gdzie popadnie. Dotychczas nie miałem z nimi większego konfliktu. Wyznam Wam w tajemnicy, że zawsze wołałem schodzić im z drogi. Tylko małe kotki trochę ganiałem, właściwie raczej dla zabawy, nie na serio. W głębi serca wcale nie czuję do nich wrogości. I nie wiem, dlaczego mamy się nie lubić. Czy to czasem nie ludzie wymyślili powiedzonko: „Żyją jak pies z kotem?” I czy to nie chłopcy podjudzają psy: „Bierz go, bierz go”? A my, żeby się przypodobać naszym panom, latamy za nimi jak głupi i

18

udajemy, że jak je dopadniemy, to rozszarpiemy w mgnieniu oka na strzępy. I staramy się ich oczywiście nie dopaść, bo to one mogłyby nas rozszarpać. Już niejedni psi zuch wrócił po rozprawie z kotem z porządnie rozoranym pyskiem i długo wylizywał swoje rany.

Właściwie przez jakiś czas żyło mi się u Tereski całkiem dobrze. Musiałem tylko uważać, żeby nie wpaść w oko gospodarzowi. Miałem co jeść, było mi ciepło, Tereska i jej mama mnie lubiły.

Okazywały to, często drapiąc mnie za uchem. A wiecie przecież, że pieski lubią to ponad wszystko. Bardziej chyba niż kielbasę, dobrą kostkę z tukiem czy ciasteczko. Moja mama też się ucieszyła, że jej „nieudacznik” jakoś się urządził.

Przykro mi tylko było, że moim jedynym obowiązkiem było schodzenie z drogi gospodarzowi. A ja pragnąłem być pełnoprawnym członkiem rodziny Tereski! Chciałem też pracować. Wiem przecież aż za dobrze, jak ciężko pracują ludzie na wsi. Nie ma dla nich siedmio- czy ośmiogodzinnego dnia pracy, nie ma

święta, niedzieli ani wolnej soboty, nie zważają na pogodę, pracują tyle, ile trzeba. A ja-niczym jakiś jedynaczek króla-milione-ra-nic nie robiłem. Bawiłem się tylko, włóczyłem się po ukochanym lesie, słuchałem śpiewu ptaków i hasałem z kolegami. A przecież powinienem pilnować domostwa albo krów, żeby nie weszły w szkodę. Umiałem przecież donośnie szczekać i byłem odważny jak... jak... jak nie wiem co. Dowiodłem tego w walce z

2*

19

udajemy, że jak je dopadniemy, to rozszarpiemy w mgnieniu oka na strzępy. I staramy się ich oczywiście nie dopaść, bo to one mogłyby nas rozszarpać. Już niejedni psi zuch wrócił po rozprawie z kotem z porządnie rozoranym pyskiem i długo wylizywał swoje rany.

Właściwie przez jakiś czas żyło mi się u Tereski całkiem dobrze. Musiałem tylko uważać, żeby nie wpaść w oko gospodarzowi. Miałem co jeść, było mi ciepło, Tereska i jej mama mnie lubiły.

Okazywały to, często drapiąc mnie za uchem. A wiecie przecież, że pieski lubią to ponad wszystko. Bardziej chyba niż kielbasę, dobrą kostkę z tukiem czy ciasteczko. Moja mama też się ucieszyła, że jej „nieudacznik” jakoś się urządził.

Przykro mi tylko było, że moim jedynym obowiązkiem było schodzenie z drogi gospodarzowi. A ja pragnąłem być pełnoprawnym członkiem rodziny Tereski! Chciałem też pracować. Wiem przecież aż za dobrze, jak ciężko pracują ludzie na wsi. Nie ma dla nich siedmio- czy

ośmiogodzinnego dnia pracy, nie ma święta, niedzieli ani wolnej soboty, nie zważają na pogodę, pracują tyle, ile trzeba. A ja-niczym jakiś jedynaczek króla-milione-"a-nic nie robiłem. Bawiłem się tylko, włóczyłem się po ukocha-iyt lesie, słuchałem śpiewu ptaków i hasałem z kolegami. A)rzecież powinienem pilnować domostwa albo krów, żeby nie veszły w szkodę. Umiałem przecież donośnie szczeakać i byłem >dważny jak... jak... jak nie wiem co. Dowiodłem tego w walce z

19

Medorkiem, który już się ze mnie nie naśmiewa. Słowem, prowadziłem życie prawdziwego nieroba.

Pewnego niedzielnego popołudnia leżałem sobie w cieniu jabłoni w jakichś chaszczach. Choć była już jesień, upał zrobił się nie do wytrzymania i nie chciało mi się nawet machnąć ogonem, żeby odgonić nachalne muszyska. Nagle usłyszałem głos ojca Tereski:

-Jak żyję, nie widziałem takich dzików! Żeby nie bały się ludzi i podchodziły do samej wsi, ryły pole i podżerały kartofle! W zimie, jak są bardzo wygłodzone, to czasem podchodzą blisko, ale teraz? Jak tak dalej pójdzie, wszystkie ziemniaki nam zeżrą, nic nie zostawią.

- Lucek, bój się Boga, co ty gadasz? Dziki na naszym polu?-zdumiała się matka Tereski.

- Jest tak, jak mówię. Już trzeci raz zryły pole pod lasem. A ty się nie dziw, tylko idź i sama zobacz. I pomyśl, jak je przepędzić.

- Jakże ja je mam przepędzić? Przecież nie pójdę w nocy na pole pohukiwać i straszyć. Sama się ich boję.

I jest czego. Ja też się ich boję. Nie daj, Boże, spotkać starą z młodymi. Strzępów by nie zostawiła, taka zajałła. No więc co? Nie ma na nie rady? Ani mocnych? Trzeba by więc

20

sposobem. Miałem zamiar się nad tym zastanowić, ale było tak gorąco, że usnąłem.

Obudził mnie lekki chłodek i światło księżycy. Przespałem całe popołudnie! Jak stara ropucha!

Wstałem, poprzeciaga-łem się należycie i poczułem, że jestem wypoczęty, wyspany i aż rozpiera mnie energia. Cóż z nią zrobić? Moi koledzy i koleżanki pewnie śpią. Sam mam latać za własnym ogonem? Nagle aż przysiadłem, bo w głowie mi zadzwoniło: dziki! No oczywiście! Jest pole do popisu! Pokażę wszystkim, co potrafi Pikus. Zawsze

21

marzyłem, żeby zostać psem myśliwskim! Choć prawdę mówiąc, wolałbym polować na dzikie kaczki niż na dzikie świnię. Ale czy mi to dali do wyboru? A jak przegonię dziki, zasłużę się dobrze gospodarzowi, który uzna moją odwagę i w nagrodę przyjmie mnie jako oficjalnego psa podwórzowego. Wreszcie będę kimś!

Nie było co zwlekać. Energicznie wstałem, kilkakrotnie się otrzepałem, żeby pchły ze mnie wyleciały, i powędrowałem na pole, które leżało nie opodal lasu. Początkowo szedłem rażnym i szybkim krokiem, potem jednak, im bliżej pola, samo mi się jakoś zwalniało. Nie, żeby się bał, skąd? Ale... po co się tak spieszyć? Zdążę na czas.

Więc pomalutku i po cichutku doszedłem do pola i wlałem w kartoflisko. Zakryło mnie prawie zupełnie. Czołgając się na brzuchu, węszyłem z napięciem i rozglądałem się na wszystkie strony. Wreszcie dotarłem do ostatniego rzędu kartofliska. Miałem już widok na cały las. Uważałem pilnie i mocno natężyłem wzrok, węch i słuch. Nic się nie działo. Panowała cisza. Minęła jedna godzina, druga. Cały zdrętwiałem z bezruchu. Nagle pochwyciłem uchem lekki szurgot. Daleki i niewyraźny. Coraz bliższy. Poczułem też... Tak, to na pewno dzik. Dzik? Jeden? A, to przyszedł na zwiady i jeżeli okaże się, że okolica jest bezpieczna, przyprowadzi resztę. Skuliłem się jeszcze bardziej i prawie przestałem oddychać. Niech podejdzie bliżej, pieska jego niebieska, to go wtedy zaskoczę od tyłu i narobię takiego jazgotu, że

22

ledwo żywy weźmie nogi za pas i szybko ucieknie. Muszę tylko dużo i głośno szczeakać. I to raz cienko, raz grubo, żeby dzik myślał, że nas tu jest więcej. Przygotowywałem się do ataku. Zęby mi dygotały... co tam zęby, cały dygotałem jak w febrze! Pewnie z zimna. Chociaż go nie czułem. Przeciwnie, czułem gorąco. "Rozplaszczyłem się na brzuchu i wpatrywałem w rzedniejący na skraju las. Wreszcie zobaczyłem skradający się cień i po chwili, zupełnie blisko na wprost mnie,

zamajaczył mi trójkątny ryj. Serce we mnie zamarło. „Pikusiu, trzymaj się! Czekaj na dogodny moment”-powtarzałem sobie gorączkowo.

Nagle dzik zmarszczył pysk, zaczął głośno węszyć, chrząknął, dał susa do tyłu-i już go nie było. Leżałem jak ogłupiały. Co się stało? Przecież mnie nie widział, bo jakby zobaczył, toby tak runął na mnie swymi szablami, że już bym tu leżał z rozprutym brzuszkiem. Pacnąłem się łapą w czoło:

„Oj, Pikusiu, ty barania głowo, tak niby o wszystkim sprytnie pomyślałeś, a o najważniejszym zapomniałeś. Przecież leżałeś z wiatrem, to znaczy, że wiatr wiał od ciebie do lasu i dzik natychmiast cię wyczuł. A ponieważ nie wiedział, czy jest tylko jeden pies, czy więcej, więc całkiem rozsądnie wycofał się. I dzisiaj już nie będzie ryzykować”.

Można więc spokojnie wracać do wsi. Tej nocy nie zostanę bohaterem.

23

Zalewam się rumieńcem wstydu, kiedy sobie przypominę, jaki to ze mnie był wtedy zarozumialec. Już bez zachowywania ostrożności zawróciłem do domu. Wesoło przebijając łapkami powędrowałem do swojej stodoły i zdrowo chrapnąłem.

Następnego dnia, zaraz po porannej toalecie i wychłępta-niu wczorajszych resztek z miseczki, pobiegłem do kolegów omówić sprawę dzika. Chciałem, żeby mi pomogli.

Ale cóż to za towarzystwo! Gdy tylko usłyszeli, o co chodzi, natychmiast każdy wynalazł sobie jakieś ważne zajęcie. Jeden musiał pilnować krów, drugi miał skaleczoną łapę, trzeciemu nie wolno się było krokiem ruszyć z domu, czwarty warował przy kotłyszce dziecka. Zresztą większość z nich była uwiązana na łańcuchu. Co prawda przyrzekły, że jak tylko gospodarze spuszcza je na noc, to na pewno przybiegną z pomocą, jeśli zajdzie potrzeba.

Jeden Arsio wprost zapalił się do „dzikiej” przygody.

- No, jasne-powiedział.-Możesz na mnie liczyć. Pieska twoja niebieska, ale im zadamy bobu! Hau, hau.

- No, to dobra jest, spotkamy się późnym wieczorem koło starego dębu. Cześć.

- Cześć.

I rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę.

W ciągu dnia przemyślałem wszystko bardzo dokładnie.

24

Powinno się udać. Zwłaszcza że wiatr wiał dzisiaj wzdłuż lasu-dziki nie wy wachają nas więc szybko.

Kiedy we wszystkich domach zapaliły się światła i przez okna widać było mieszkańców wsi jedzących kolację (sam cały dzień nic nie jadłem, żeby nabrać ostrości, bo pies jak głodny, to zły), udałem się pod stary dąb.

Arsio już czekał. Przywarł skulony do pnia, tak że z trudem go dojrzałem.

- Cześć.

- Cześć-Arsio wstał i elegancko, jak nakazują dobre maniery, podniósł tylną łapkę i obsiusiał dąb. Zrobiłem to samo. I mnie mama dobrze wychowała. Arsio obszedł dąb i podniósł drugą łapkę.

Odpowiedziałem mu tym samym. Kiedy jednak przymierzał się do następnego podniesienia łapki, przeszkodziłem mu:

- Słuchaj, nie czas teraz na dygi i reweranse. Mamy poważne zadanie do wykonania. Czy zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczna jest nasza wyprawa? Jeżeli się boisz nie czujesz na siłach, to lepiej od razu się wycofaj.

- Ja? Bać się? Chłopie, czy ty mnie nie znasz? Ja na to jak na lato. Każda draka to dla mnie niby kielbaska przysmażana.

25

- Ale spotkanie z dzikiem to nie draka! To nie przelewki!

- Przestań mnie straszyć i nie filozofuj. Mamy iść na dzika? Fajno. A co będzie, zobaczymy.

I beztrudnie poszedł przodem. Czy jest taki głupi, czy taki odważny? Ale i odwaga musi iść w parze

z rozsądkiem. Dogoniłem Arsia.

- Posłuchaj, gdy dojdziemy na pole, musimy być cicho, jakby to szły nasze duchy, a nie my. Potem między rzędami kartofli doczołgamy się pod sam prawie las, ty po jednej stronie, ja po drugiej. I ani mru-mru. Kiedy pierwszy dzik wyjdzie na pole, wtedy go obskoczemy, biegając w kółko, wyjąc i szczekając wniebogłosy. Aby tylko nie dać się wziąć na szable.

- Okey-rzekł światowo Arsio.

I tak zrobiliśmy. Czekaliśmy na dzika może ze dwie godziny. Już myślałem, że tak się wczoraj przeląkł, iż dzisiaj się nie pokaże. Wreszcie, kiedy już nieomal zapomniałem o strachu, moje nozdrza złapały ledwo wyczuwalny zapach, a ucho ostrożne stąpanie. Zamarłem w bezruchu. Było cicho jak makiem zasiał. Wyteżałem wzrok, aż mnie oczy zabołały. Minęła jeszcze chwila i... jest! Chyba nawet ten sam. Ostrożnie wysunął się spomiędzy drzew, rozejrzał na wszystkie strony, poruszył kilkakrotnie nosem, po czym, widać uspokojony, podszedł jeszcze kilka kroków prawie pod samo kartoflisko. Wtedy zawyłem najgłośniejszym, jak

26

tylko umiałem, i z donośnym szczekaniem wyskoczyłem z kryjówki. Z drugiego końca, też z mrozącym krew w żyłach ujadaniem i wyciem, wypadł Arsio. Zygzakami, to biegnąc naprzód, to zawracając, przewracając się i podnosząc, otoczyliśmy naszego wroga.

- Arsiu, od tyłu go! Od tyłu!-wrzeszczałem. Dzik po krótkiej chwili zaskoczenia wydał bojowy okrzyk i ruszył prosto na mnie. Zawróciłem w miejscu i skoczyłem w kartoflisko, aż fiknąłem kozła. Zaraz się jednak zerwałem i odskoczyłem w bok. Dzik zarył kopytami, wykonał półobrót i runął na Arsia. Wtedy ja za nim. Już-już miałem w zębach jego tylną nogę, kiedy nagle zrobił w tył zwrot i przed oczami błysnęły mi jego kły. Ale i ja byłem szybki. Uskoczyłem błyskawicznie, zajadłem szczekając, a wtedy podgisył go Arsio. Dzik, wzięty w dwa ognie, podskakiwał i atakował ze zręcznością, o jaką nie podejrzewałem tego niezgrabnego cielska. Na skraju kartofliska rozgorzała prawdziwie zażarta walka. Dzik charczał, mruczał, rzeził, my jazgotaliśmy tak, że chyba pobudziliśmy cały świat. Chcieliśmy za wszelką cenę zmusić go do odwrotu i dać mu porządną nauczkę, żeby już nigdy nie odważył się ruszać cudzego pola. Ale rozjuszony zwierz nie dawał za wygraną. Wciąż tak się ustawiał, aby dosięgnąć nas szablami. Uskakiwaliśmy szybko, starając się równocześnie dopaść dzika od tyłu, a jeszcze lepiej - wskoczyć mu na kark i dobrać się do jego uszu. Nie byłem

28

jednak atletą i chociaż miałem serce lwa, to ciało małego Pikusia. Czułem coraz większe zmęczenie, a siły zaczęły mnie opuszczać. Coraz trudniej było mi robić skoki, zwroty, podbiegi i ucieczki. Serce waliło mi jak młotem. W pewnej chwili poczułem w boku potworny ból. Jakby mnie ktoś dźgnął rozpalonym żelazem. Ale nie poddawałem się, walczyłem dalej. Nogi stawały się ciężkie jak z ołowiu, płuca pracowały jak miechy. Skakałem na oślep, nie widziałem już ani dzika, ani Arsia.

„Pikusiu-rzekłem do siebie.-Jeżeli ta walka potrwa jeszcze parę minut, to chyba padniesz”.

Wtem usłyszałem tak szybkie dudnienie i taki psi jazgot, że prawie ogłuchłem. Na polu rozpoczęło się prawdziwe piekło. To wszystkie psy, który tylko mógł, przybyły nam na pomoc. Nie było to honorowe, przyznaję, tyle psów na jednego dzika, ale wyłącznie tym sposobem udało nam się zmusić wroga do ucieczki. Jeszcze usiłował nas straszyć, ale było to równoczesne z wycofywaniem się do lasu. Po kilku sekundach zniknął w ciemnościach.

Wygraliśmy. Padłem na ziemię dysząc ciężko.

- Hurrra!-ujadał Arsio.-Zwycięstwo! Pikusiu, zwycięstwo!-i zatańczył przede mną radosny taniec, a wraz z nim reszta kolegów. Wszyscy przeschczekiwali się w wielkiej radości. Aż mi w głowie huczało, nie wiem, czy z tego jazgotu, czy z bólu i osłabienia.

29

Nagle Arsio stanął jak wryty:

- Poczekajcie! Cicho! Pikus jest ranny.

Przysiadł koło mnie i w jego oczach zobaczyłem przestraszenie.

- Masz cały bok we krwi. A ja nie mogę patrzeć na krew. Słabo mi się robi-zaskomlał.

Tak jakby mnie nie robiło się słabo. Zwłaszcza na widok mojej własnej krwi. Próbowałem jednak zlekceważyć ranę i uśmiechnąć się.

- Nic to-powiedziałem możliwie mocnym głosem, jak sławny rycerz na całą Rzeczpospolitą, imć pan pułkownik Wołodyjowski.

(Jeśli chcecie się dowiedzieć, kim był pan pułkownik Wołodyjowski, to zapytajcie tatusia, bo ja nie mam teraz czasu Wam tego wyjaśniać. A najlepiej, żeby tatuś albo mamusia przeczytali Wam całą „Trylogię” pana Henryka Sienkiewicza. A jeszcze lepiej, nauczcie się szybko czytać i przeczytajcie sami. A może już umiecie czytać? Pytacie, skąd ja znam pana Wołodyjowskiego? Ano, w późniejszym etapie mojego życia, a więc i moich wspomnień, pojawią się dwie najbliższe mi po Teresce osoby: Piotrek i Ania. Znali oni, zwłaszcza Piotrek, prawie całą „Trylogię” na pamięć i stale mówili językiem sienkiewiczowskich bohaterów, stąd i ja ich poznałem).

- Nic to-powtórzyłem.-Zaraz mi przejdzie.

30

Staralem się wylizać ranę, ale nie miałem siły unieść głowy.

Koledzy otoczyli mnie zastanawiając się, jak mi pomóc.

- Może go wezmę w pysk i zaniosę jak kociaka do domu?-zapropował basem potężny Bzik, ni to bokser, ni dog.

- Nie, nie-przestraszyłem się, bo wiedziałem, jaki z niego niezgrabiasz. - Zostawcie mnie. Trochę odpocznę i doczołgam się do mojej stodoły.

Ar sio pokonferował jeszcze chwilkę z całą gromadą i nakazał jej wracać do domów. Sam usiadł przy mnie.

- Aleśmy mu zadali bobu, co? Już tu nie przyjdzie. Jestem pewien, że popamięta nas na całe życie - chełpił się. -Całe zady mu powygryzałem. No, może nie całe, ale w każdym razie moje zęby dobrze poczuł.

- Ar siu, jeśli chcesz zostać tutaj, to połóż się i pośpij fvopbe... nie gadaj tyle. Noc jest ciepła. Ja też trochę się trochę... nie gadaj zdrzemnę.

- Czy bardzo cię boli?

- Nie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Było mi tak słabo, że prawie nie czułem bólu. Chciało mi się tylko bardzo pić. Nagle obaj z Arsiem nadstawiliśmy uszu. Ktoś szedł w naszym kierunku.

Ar sio zerwał się i stanął w pozycji gotowej do obrony siebie i mnie.

31

3 - Pamiętnik

Z kartofliska wynurzył się cień, który przekształcił się w postać naszej koleżanki, Lulki.

Odetchnęliśmy z ulgą.

- Dlaczego nas tak straszysz?-spytał z wyrzutem Arsio.

- Mmmm-wymamrotała w odpowiedzi Lulka. Zdziwiłem się, że wydaje takie idiotyczne dźwięki, zamiast grzecznie odpowiedzieć.

W ciemności nie mogłem też dojrzeć, co stało się z jej pyskiem, który zakończony był czymś dziwnym. Wreszcie poznałem. Lulka trzymała w zębach małą powyginaną miseczkę. Z wielkim trudem udało jej się postawić naczynko koło mojego pyska.

- Pikusiu, przyniosłam ci wody, pewnie chce ci się pić po takim wysiłku i z tą wielką raną. Czy nie masz czasem gorączki?-zaniepokoiła się.

Wzruszyłem się. Dobra, kochana Lulka. Zawsze bardzo wrażliwa i czuła na cudze nieszczęście.

- Dziękuję ci. Rzeczywiście, język mam jak kołek. Nie mogłaś zrobić nic lepszego.

Uniosłem trochę łeb i podpierając się łapami, wychlepta-łem wodę do ostatniej kropelki. Poczulem wyraźną ulgę.

- Jeszcze parę chwil-powiedziałem-i chyba potrafię dowlec się do domu.

- Pomożemy ci-zapewniła Lulka.

32

- Ma się rozumieć-dodał Ar sio. -Przyjaciół nie zostawia się w potrzebie.

Bardzo powoli, kuśtykając, potykając się, sapiąc i odpoczywając co chwila, dotarłem do domu.

Gdyby nie pomoc Lulki i Arsia, pewnie by mi się to nie udało. Padłem jak nieżywy na moją derkę i chyba straciłem przytomność.

Początkowo bowiem ogarnęły mnie ciemności, a potem z tych ciemności wylewać się zaczęły jakieś wielkie huczące strumienie i całe rzeki, to słyszałem pochrząkiwanie dzików, to wycie psów, a wreszcie do moich uszu dotarło czyjeś chlipanie. Powoli otworzyłem oczy. Przy mnie klęczała Tereska, głaskała mnie po głowie i płakała.

- Co się stało, Pikusiu? Kto cię tak strasznie zranił? -pytała.

- Biłem się... z dzikiem... na waszym polu... Wypę... dziliśmy go... wasze kartofle na zimę... uratowane - odpowiedziałem przerywanym głosem. Trudno mi było mówić. Nie mogłem nawet poruszać łapą, a cóż dopiero wstać.

- Jesteś wspaniałym, dzielnym psem. Prawdziwym bohaterem - objęła mnie za szyję. - Mamo, mamusiu! - zawołała.

Do stodoły weszła matka Tereski i na mój widok załamała rękę.

- Święci anieli! Co się stało? Kto go tak urządził?

33

Tereska wszystko jej opowiedziała. Gospodyni popatrzyła na mnie z rozczuleniem.

- Teraz to i gospodarz już cię nie może wyrzucić. Musiałby mieć serce z kamienia, niewdzięcznik.

Czekaj, zaraz cię opatrzę.

Wyszła, żeby po chwili wrócić z miską pełną wody i białymi gałgankami. Delikatnie obmyła mi ranę i zabandażowała.

- A teraz napij się grzecznie mleka, to ci dobrze zrobi - powiedziała.

Znowu to mleko. Wątpię, żeby mi dobrze zrobiło. Nie cierpię mleka. Wody to bym się napił.

Odgadła to Tereska i obok miseczki z mlekiem postawiła drugą z wodą. Wypiłem z grzeczności trochę mleka, za to wychłęptałem całą wodę. Poczulem się nieco raźniej, ale nadal trudno mi było się poruszać.

- Teresko, zostawmy go w spokoju. Niech sobie leży, nieboraczek. Jak się wyśpi, to mu dam krupniku na mięsie.

Hm, miło jest być ważnym bohaterem. Ale jeszcze milej wiedzieć, że dokonano się czegoś dobrego. Zasnąłem chyba natychmiast, bo nawet nie zauważyłem ich odejścia.

Kiedy znowu się obudziłem, słońce chyliło się już ku zachodowi, a z podwórka dochodziły mnie głosy gospodarzy.

34

- Lucek, toż on obronił nasze pole, taka chudzina, i nie bał się rzucić na dziki. Pan Bóg by nas skarał, jakbyśmy go teraz wyrzucili. Niechże już pilnuje całego gospodarstwa.

Gospodarz długo mamrotał coś niezrozumiale, wreszcie rzekł:

- Wiesz, że nie lubię psów ani kotów, ani niczego, co by mi się płało pod nogami. No, ale niech tam już zostanie, tylko mu przykaż, żeby dobrze pilnował, bo za darmo żreć nie będę dawał.

No i zostałem oficjalnie. Rana zagoiła mi się szybko i znów byłem zdrow jak ryba. Tylko, że gospodarz w dalszym ciągu patrzył na mnie wilkiem, choć starałem się być najwierniejszym psem. Nie znałem żadnych sztuczek, jak to inne pieski potrafią. Kto miał mnie ich nauczyć? Przecież dotychczas nie miałem swojego pana, trzymali mnie tylko z łaski i dobrego serca. Za to, gdy tylko ktoś przechodził, szczeakałem bardzo głośno, gorliwie goniłem skradające się koty, a nawet myszy, nie biegałem już całymi dniami po lesie, jak dawniej, lecz warowałem blisko domu i pilnowałem, pilnowałem... Jednym słowem, starałem się sumiennie wykonywać obowiązki gospodarskiego psa. Upłynęły tygodnie, kończyła się już jesień złota i pogodna, a zaczęła słotna. Noce stawały się coraz zimniej sze, w dzień zaś nawet najśłabsze słońce nie wyglądało zza chmur. Ale nie było mi zimno.

Tereska naniosiła dużo siana do mojego kącika w stodole,

35

codziennie dostawałem miskę ciepłego jedzenia, często nawet z mięskiem, a gospodyni nieraz rzucała mi smaczne kosteczki. Nie mogłem więc narzekać. Było mi dobrze. I byłoby tak nadal, gdyby nie moja myśliwska pasja... i chęć przypodobania się gospodarzowi.

Wracałem pewnego bardzo już zimnego popołudnia z psiego sejmiku koło dębu, kiedy na drodze zobaczyłem mojego gospodarza idącego zygzakiem do domu. Pod pachą niósł gęś. Nogi mu się plątały, a kiedy chciał przytrzymać się płotu, gęś wyrywała mu się spod ramienia.

„Oooo, niedobrze-pomyślałem-będzie awantura. Dlaczego ci niby mądrzy ludzie lubią pić to coś, co ich pozbawia rozumu?”

Nagle gospodarz się zatoczył, pośliznął na kamieniu, stracił równowagę, rozpostarł ręce, żeby ją utrzymać, i... gęś wyfrunęła na drogę z przenikliwym gęganiem.

Gospodarz rzucił się za nią, ale przejechał na jednej nodze po śliskim błocku i usiadł w samym środku kałuży. Zaklął szpetnie i podparł się ręką, po czym udało mu się wstać i niezdarnie pogonić za gęsią. Ptak trzepotał skrzydłami i uciekał, ile tylko miał sił w nogach.

„Pikusiu-powiedziałem do siebie-teraz nadszedł czas, żeby zapolować na gęś i przysłużyć się gospodarzowi”.

Ruszyłem za gęsią jak huragan. Dopadłem do niej w kilku

36

susach, capnąłem zębami za łeb i przydusiłem do ziemi. Ptaszysko rzucało się trzepocząc skrzydłami i gęgając przeraźliwie. Ścisnąłem jeszcze mocniej i gęś dziwnie zwiótczała. Z łatwością, chociaż była, nie powiem, dość ciężka, przytaszczyłem ją do gospodarza i z triumfem rzuciłem mu pod nogi. Niezwykle z siebie zadowolony, tańczyłem wokół gospodarza, czekając na pochwały.

Zamiast tego gospodarz, popatrzawszy na leżącą nieruchomo gęś, zaczął mnie strasznie łajać:

- Ach, ty kundlu zatracony! Ty niedołego, ty nic dobrego! Gęś mi zadusiłeś! Czekaj, już ja ci pokażę!

Złapał leżący na drodze kij i dalej mnie nim okładać. Nie mogłem początkowo pojąć, o co mu chodzi! Przepraszałem go, łasiłem się, starałem się wytłumaczyć, prosić o wybaczenie... Nic z tego. Rozsierzony, młócił kijem gdzie popadło. Całe szczęście, że-jak to piszą w gazetach-„działał w upojeniu alkoholowym”, jego razy nie były więc zbyt celne. Ale i tak dostało mi się porządnie. Musiałem więc wziąć ogon pod siebie i zmykać.

- Żebyś cię więcej na oczy nie widział! Nie pokazuj mi się w domu, bo cię utłukę! Nie będę karmił takiej niedojdy! Gęś piękną kupiłem za pół ceny, a ten zbój ją zagryzł. O, huncwot, o, bandyta!-ryczał gospodarz rzucając za mną kamieniami.

Popędziłem jak zbity pies przed siebie, pełen rozpaczony i przerażenia. Zachciało mi się być psem myśliwskim, zachciało tań się przypodobać gospodarzowi, zachciało mi się pokazać

37

temu gburowi, co potrafi Pikus... Użyłem jak pies w studni.

Znowu stałem się bezdomnym włóczęgą. Cóż ja teraz pocznę? Dokąd pójdę? Zimno, deszcze jesienne popadają już ze śniegiem, a tu ani dobrego ludzkiego słowa, ani schronienia, ani pełnej miski. Co za los. Prawdziwie pieskie życie.

Zdyszany przysiadłem pod gęstym przydrożnym krzakiem i wtuliłem się w niego, żeby mi było choć trochę cieplej i żeby tak bardzo na mnie nie padało. Jak okiem sięgnąć-dokoła psa z kulawą nogą, każdy uciekł do domu przed taką pogodą.

„Pieska twoja niebieska. Będzie, co ma być-pomyślałem.-Tę noc jakoś tu przebiduję, a jutro znowu będę musiał coś zorganizować. Może znowu Tereska mnie poratuje? Może nie da mi zginąć?” Do mamy nie było po co iść, nie chciałem jej też martwić.

Noc przeleżałem skulony pod krzakiem, trzęsąc się z zimna. No i od gospodarskich ciągów. Bolał mnie cały grzbiet i czoło nad okiem. Musiał mnie tam mocno walnąć. Trochę podzemałem, ale zimno i ból nie pozwoliły naprawdę wypocząć.

Ledwie się trochę rozwidniło, wstałem i usiłowałem się poprzeciągać, co pieski bardzo lubią, bo dodaje im to sprawności i nogi lepiej niosą.

- Auuu-zaskomliłem. Przy każdym ruchu czułem ból kości, jakbym je miał pogruchotane na drobny maczek.

„Muszę się jednak poprzeciagać i trochę pogimnastyko-wać, inaczej rozchoruję się na tej zimnicy”- postanowiłem.

O, bo my, psy, nie pieścimy się z sobą. Z trudem pomachałem ogonkiem, popodnosiłem łapki, pokręciłem się w kółko i zrobiłem kilka przysiadów. Poczulem się lepiej i wolno poszedłem w kierunku szkoły. Tam bowiem mogłem spotkać Tereskę.

Istotnie, zobaczyłem ją już z daleka. Szła z koleżankami. Kiedy mnie ujrzała, szybko do mnie podbiegła. Powitałem ją z takim entuzjazmem, na jaki tylko było stać moje obolałe i zziębnięte ciało.

- Och, Pikusiu, Pikusiu, cóżeś ty narobił! Tatuś był wczoraj po prostu wściekły z powodu tej gęsi. Ale nie martw się o nią. Żyje. Tylko trochę ją podduśłeś. Dzisiaj już gęga jak najęta. Pewno każdemu opowiada, czy kto chce, czy nie, co jej się przytrafiło. Tylko że tatuś strasznie się na ciebie zawziął. Nie możesz teraz wrócić. Może z czasem mu przejdzie... Posłuchaj, spiesz się teraz na lekcje, nie mogę się spóźnić, masz tu chleb z kielbasą, zjedz i czekaj na mnie po szkole. Coś wymyślimy.

- Dałaś mi swoje śniadanie, a co ty będziesz jadła?

- Koleżanki się ze mną podzielą. Cześć!

39

I pobiegła szybko za innymi dziewczynkami, aż warkocze furkotały jej dokoła głowy.

No i czy widzieliście lepszą dziewczynę? Wiedziałem, że mi na pewno pomoże, że nie pozwoli zginąć.

Zjadłem z apetytem chleb z kielbasą, choć miałem trochę wyrzutów sumienia, że pozbawiłem Tereskę drugiego śniadania, potem pochleptałem nieco wody ze starego garnka, który stał przy drodze-nie wiadomo czyj i nie wiadomo po co. Cóż bym dał teraz za ciepłe mleczko! A tak grymasiłem. Przekonałem się, że z takiego kręcenia nosem nic dobrego nie może wyjść. (Nigdy więc nie grymacie, dobrze Wam radzę).

Żeby skrócić czas oczekiwania na Tereskę, pobiegłem do ukochanego lasu. Ale było tam mokro i zimno. Z gałęzi kapwały duże krople dżdżu, a łapy ślizgały się po rozmokłej ziemi. Zawróciłem. Może by odwiedzić Arsia? Miałem nadzieję, że jest w swojej budzie. Przez tę paskudną pogodę nie widać żywego ducha. Nikt nie chce nawet nosa wychylić na dwór.

Arsia, mimo psiej pogody, nie było. A więc nie każdy siedzi u siebie. Może by tak pójść do mamy?

Nie, nie mogę znowu jej zmartwić. Podreptałem więc z powrotem do szkoły i tam przycupnąłem koło schodków. Słyszałem dzwonki na przerwy i wrzaski chłopaków biegających za piłką albo mocujących się z sobą, słyszałem ciszę w czasie lekcji. Wreszcie zajęcia się skończyły i dzieci, wesoło machając teczkami, pokrzykując jedno do

40

drugiego, wysypały się ze szkoły. Wybiegła i Tereska. Stała w drzwiach i rozejrzała się.

Spostrzegła mnie i podeszła razem z dwiema innymi dziewczynkami. Znałem je. To Marzenka i Joasia.

- Posłuchaj, Pikusiu. Jakoś nic nie możemy wymyślić. Na razie zrobimy ci pod gęstym krzakiem szałas z gałęzi, na ziemi rozłożymy ci pałatkę, którą wymościmy słomą, a potem na pewno wykombinujemy coś lepszego. To tylko tymczasowo. Może tatuś ci wybaczy, może któraś z koleżanek będzie mogła cię wziąć... W tej chwili nic więcej nie możemy zorganizować. Będę ci przynosiła jedzenie, więc może jakoś przetrzymasz ten trudny czas.

Podziękowałem grzecznie i udałem, że jestem zachwycony. Wiedziałem, że Tereska zrobi wszystko, co tylko będzie mogła, żeby mi pomóc. A jej koleżanki-pocziwe dziewczynki-też myślą o mnie.

Ale my, pieski, jesteśmy zwierzętami stadnymi. Żeby być szczęśliwymi, musimy żyć w rodzinie, musimy mieć swojego pana, którego słuchamy i podziwiamy, swoją panią, która nas karmi i którą my uwielbiamy, i dzieci, z którymi bawimy się, a czasem i psocimy.

No cóż, nie każdy może żyć szczęśliwie. Ja mam chociaż Tereskę, a są pieski, które nie mają

nikogo, albo takie, które zły gospodarz przywiązuje do krótkiego łańcucha i rzadko daje jeść, a często bije. Dobrego słowa nie rzuci nigdy. Powinienem być

41

zatem zadowolony, że mimo iż nie będę miał ani pana, ani budy, to będę miał wolność. Będę robił, co będę chciał, sam spróbuję dla siebie zapolować. „Ho, ho, nie jestem żadnym łamagą, nie dam się”-dodawałem sobie otuchy. Jakiż byłem wtedy lekkomyślny... Wydawało mi się, że byle przetrzymać zimę, a wszystko będzie dobrze.

Ale nie przetrzymałbym tej zimy, gdyby nie szczęśliwy przypadek, który kazał pewnej pani i jej dzieciom zatrzymać samochód tuż koło mojego legowiska.

Tereska z koleżankami zrobiły mi mały szałasik z gałęzi, naniosły świeżej słomy, rozłożyły pałatkę i wydawało się" że mój domek da mi dobre schronienie. Cóż, kiedy przyszły ulewne deszcze. Słomiane posłanie prawie pływało, a ja wyglądałem jak zmokła kura. Brrr! Nieustannie też dygotałem z zimna. Gimnastykowałem się, biegałem, robiłem dla rozgrzewki najprzedziw-niejsze skoki. Niewiele mi to jednak pomagało. Trochę cieplej robiło mi się tylko wtedy, kiedy Tereska czy któraś z jej koleżanek przyniosła gorącej kaszy albo zupy. Było mi jednak nie tylko zimno i mokro, było mi przede wszystkim smutno i samotnie. Wprawdzie przychodziły do mnie inne pieski, głównie Arsio i Lulka, bawiłem się trochę z nimi, wysłuchiwałem różnych ploteczek, ale dobrego humoru nie potrafiłem z siebie wykrzesać.

Któregoś dnia zbudziłem się z ogromnym bólem głowy. Trząśłem się z zimna jak barani ogon i zęby mi szczękały, aż sobie język przygryzłem. Nie mogłem się też podnieść, żeby pobiegać i rozgrzać się.

„Pikusiu, pieska twoja niebieska, musisz się wziąć w garść, nie poddawać się-mówiłem sobie.- Będzie jeszcze dobrze, zaświeci słońeczko, zaśpiewają ptaki, znajdzie się dla ciebie najwspanialsze gospodarstwo do pilnowania, najlepiej u leśniczego, będziesz polować...”

Ale to były tylko słowa. Nadaremnie starałem się nabrać optymizmu i zmusić siebie do wstania. Z godziny na godzinę

43

czułem się coraz gorzej. Zacząłem kasłać, dostałem kataru, nie chciało mi się jeść, nie interesował mnie świat.

Każdy dzień przynosił pogorszenie.

Tereska patrzyła na mnie ze smutkiem i niepokojem. Dawała mi smakowite kąski, których nawet nie tykałem, głaskała mnie, drapała za uchem i okrywała przyniesionym kocem. Ale jaw odpowiedzi machałem tylko słabo ogonkiem.

Aż przyszedł dzień, kiedy nie byłem w stanie nawet cichuteńko zaskomleć. Wszystko mi zubożyło. Zdawałem sobie sprawę, że nade mną stoi Tereska z koleżankami, że obok siedzą Arsio i Lulka, ale widziałem to jak przez mgłę, a ich głosy coraz bardziej się oddalały... aż przestałem w ogóle słyszeć i widzieć. Zapadłem się w głuchotę i ciemność.

Nie wiem, jak długo to trwało. Może godzinę, może kilka godzin, a może całą wieczność...

I kiedy było już ze mną bardzo źle, kiedy po prostu umierałem pod przydrożnym krzakiem w późnojesiennym deszczu, nadjechał mały samochodzik, zatrzymał się i wysiadła z niego pani z dwojgiem dzieci. Była to pani Maria z córką Anią i synem Piotrusiem. Ale wtedy jeszcze tego oczywiście nie wiedziałem. Wtedy w ogóle nie wiedziałem nic. O całej historii, którą tutaj przytoczę, dowiedziałem się dopiero z opowiadań Piotrka.

Pani spostrzegła stojącą obok mnie Tereskę, która zanosila się od płaczu.

44

- Dziewczynko-spytała pani.-Co się stało? Dlaczego tak płaczesz? Czy możemy ci w czymś pomóc?

- Bo... bo... Pikus... umiera... To taki biedny... nieszczęśliwy piesek, taki malutki, a taki dzielny, taki odważny... i mądry.

Pani popatrzyła na Tereskę z sympatią i objęła ją serdecznie. Rezultat tego był taki, że Tereska przestała płakać, a zaczęła ryczeć, jakby ją kto ze skóry obdzierał.

- Uspokój się, nie płacz-mówiła pani.-Zobaczmy, co się da zrobić. Dlaczego ten piesek leży taki

zmoknięty pod krzakiem?

I wtedy Tereska, przerywanym z łkania głosem, opowiedziała pani i jej dzieciom niewesołą historię mojego życia.

W trakcie opowiadania zaczęła płakać Ania, a i pani miała łzy w oczach. Tylko Piotrek-jak potem mówił-nie płakał, bo mężczyźni nigdy nie płaczą, ale w gardle coś go drapało.

- Czy jest tu weterynarz?-spytała pani.

- Nie, w drugiej wsi. Ale cóż on pomoże? Nawet jakby go wyleczył, to gdzież on, sierotka, pójdzie? Nadchodzi zima, śnieg, mróz. Pikus zimy nie przetrzyma.

- Mamusiu-wykrzyknęła Ania-nie możemy go tak zostawić! Nie możemy pozwolić, żeby to stworzonko zginęło z zimna, głodu i jakiegoś choróbka!

- Anka ma rację-dodał Piotr.-Nie wolno tak postąpić.

45

Jeżeli zły człowiek go skrzywdził, to dobry człowiek musi to naprawić. Mamusiu, ty przecież jesteś dobrym człowiekiem, prawda? Zawsze nam mówiłaś, że musimy opiekować się zwierzętami, młodszymi dziećmi i słabszymi od siebie. Opowiadałaś nam też, jak karmiłaś głodne kotki i opiekowałaś się bezdomną suką, która urodziła małe szczeniaczki, kiedy byłaś mała. No, więc co teraz, mamu?

- Mamo, mamusiu, musimy go wziąć do domu! To będzie nasz piesek. Pójdziemy z nim do weterynarza. On na pewno wyzdrowieje. Będziemy się z nim bawić, wyprowadzać go na spacer, kąpać go, w ogóle będzie nasz.

- A ja będę chodził z nim grać w piłkę i będę nim straszył tych chuliganów, co nam brudzą klatkę schodową koło windy. Ho, ho, teraz zaczną uciekać, aż się za nimi będzie kurzyło.

Piotrek od razu zobaczył we mnie wielkie, ostre psisko, z którym pokona chuliganów.

- Moi drodzy, pies to nie zabawka, którą można rzucić do kąta, jak wam się znudzi albo jak będziecie mieli co innego w głowie. Pies, jak każde zwierzę, jest istotą czującą, a zapewne i myślącą. I jeżeli ktoś zdecyduje się trzymać w domu psa, musi pamiętać, że bierze na swoje barki wielki obowiązek. Obowiązek odpowiedzialności za niego. Musi go karmić, pielęgnować, wychowywać, wychodzić z nim na spacer, a nawet czasem zrezygnować z różnych przyjemności, jeżeli okaże się, że

46

właśnie w tym czasie trzeba się psem zająć. Więc zastanówcie się dobrze.

- Oj, mamusiu, to przecież oczywiste! Nie ma się co zastanawiać. Możesz na mnie polegać. Ja, jak się już czegoś podejmę, to tego nie lekceważę-pochwaliła się godnie Anka.

- Wiem, córeczko, wiem, chcę wam to jednak wyraźnie uświadomić. Nie wiem, co powie ojciec na nowego psa. Ciągle jeszcze nie może zapomnieć Kuby.

- Mamo, przecież zawsze nas uczyliście, że...

- Oj, Anka, no chyba, że ojciec się zgodzi-wtrącił Piotrek.-Przekonamy go. Jest fajny.

- Proszę pani-wtrąciła błagalnie Tereska.-Niech go pani weźmie, to bardzo biedny, dzielny i mądry piesek. Będzie pani miała najwierniejszego przyjaciela...-i znowu się rozplakała.

Nastąpiła długa chwila ciszy, przerywana tylko chlipaniem Tereski i zdyszczanymi oddechami Ani i Piotrka. Wreszcie pani zgodziła się i zaraz przystąpiła do energicznego działania:

- Biegnijcie, dzieci, do samochodu i przynieście ten stary koc z bagażnika.

- Mamo, jesteś bombowa!

- Wiedziałem, że tak zrobisz!

- I podajcie mi termos z kawą, trzeba mu dać parę łyżeczek, to go wzmocni.

Przeniesiono mnie na koc, opatulono porządnie, napo-

47

iwszy uprzednio gorącą prawdziwą kawą, i zanieśono do samochodu.

Słuchając opowieści Piotrka, jak przez mgłę przypomniałem sobie moment, kiedy do pyska wlewano mi ciepłą, dziwnie pachnącą, gorzko-słodką ciecz. I kiedy poczułem znajomy zapach, znajomą rękę na mojej głowie i znajomy głos Tereski, który powiedział: „Do widzenia, Pikusiu.

Może teraz będziesz miał lepsze życie. Bardzo bym chciała. Będę za tobą tęskniła"-i Tereska znowu

rozplakała się głośno.

Zaraz po powrocie do Warszawy pani pojechała ze mną prosto do pogotowia dla zwierząt. Okazało się, że byłem poważnie chory.

- Nosówka i ogólne wycieńczenie - stwierdził pan doktor.

- Czy są jakieś szanse?-spytała pani Maria.

- Każdy ma szanse, póki mu bije serce. Najpierw zrobię mu potężny zastrzyk, zaraz na miejscu, a potem będzie pani musiała codziennie z nim przyjeżdżać, bo w zależności od jego stanu będę mu aplikował różne lekarstwa.

Zaoszczędzę Wam opowiadania o przebiegu mojej choroby i kuracji.

Pan doktor był wspaniałym fachowcem i wielkim miłośnikiem zwierząt. Leczył swych pacjentów z takim poświęceniem, jakbyśmy byli ludźmi. Później często słyszałem, jak pani Maria mówiła, że chciałyby, żeby niektórzy lekarze od ludzi mieli też

4 - Pamiętnik.

49

taki stosunek do swych pacjentów, jak lekarze od zwierząt do swoich.

Do dzisiaj czuję do mojego pana doktora wielką wdzięczność, choć zastrzyki były bolesne, a lekarstwa, które musiałem połykać, kwaśne i gorzkie. Brrr.

Cała historia mojego ocalenia wydała mi się początkowo i tak zupełnie nierealna. Myślałem, że śnię albo że zwyczajnie umarłem i przebywam w innym świecie... I zastanawiałem się, jak tu będzie.

Może lepiej, spokojniej, może będę mógł polować?

Ale nie umarłem, nie, tylko długo byłem bardzo, bardzo chory, prawie o krok od śmierci.

Przechodziłem nosówkę. Wszystkie szczenięta powinny być szczepione przeciw nosówce. Kto tam jednak na wsi o tym myśli?

I nadszedł dzień, kiedy otworzyłem oczy i znowu zobaczyłem świat bardzo wyraźnie. Ale jakże był inny! Zupełnie niepodobny do tego, w którym żyłem dotychczas. Nigdy właściwie nie mieszkałem w prawdziwym domu we wsi, ale czasem udało mi się do środka zajrzeć. Wyglądał zupełnie, ale to zupełnie inaczej niż miejsce, w którym się obecnie znalazłem. Leżałem na czystym posłaniu w kącie pokoju, obok tapczanu. Były jeszcze różne inne meble, których nazw wówczas nawet nie znałem. W ogóle musiałem się nauczyć wielu nowych słów. Na wsi nie rozmawia się z psami, uczymy się więc tylko tego, co usłyszymy same i poznamy same. W pokoju stały regały z książkami, dwa biureczka, fotel,

50

jeszcze drugi tapczan, na ścianach wisiało kilka obrazów (jak się później dowiedziałem, były to akwarele), jakieś makatki i różne różności. Podłoga była bardzo jasna i lśniąca. Obok mojego posłania stały dwie miseczki. Jedna z wodą, a druga z kaszą i z mięsem. Ostrożnie podniosłem łeb, wciągnąłem w nozdrza mię-skowy zapach i chciałem wstać. Ale cóż to? Nogi miałem z waty. Może to nie moje nogi? Może mi je ktoś zamienił? Strasznie się zaniepokoiłem. Wprawdzie moje łapki są króciutkie i trochę krzywe, ale za to jakie mocne i szybkie! A teraz co? Nie mogłem na nich ustać, a kiedy usiłowałem zrobić krok do miski, rozjechały mi się kompletnie na lśniącej, śliskiej posadzce. O, psia kostka, a cóż to za wynalazek, przecież podłoga jest do chodzenia, a nie do ślizgania się. „Oho, ho, musi być ze mną już nieźle, skoro zaczynam wybrzydzać” -pomyślałem. Nie, nie, to nie było wybrzydzenie. Po prostu dodawałem sobie otuchy.

W mieszkaniu panowała cisza, pewnie nikogo nie było, wszyscy gdzieś wyszli. Pozbierałem się niezgrabnie z upadku, podczołgałem powoli do miseczki, wypilem całą wodę i spróbowałem mięska. Dobre było, smakowało mi, ale zjadłem tylko kawałeczek. Nie miałem jeszcze siły gryźć. Czuję się słaby jak pisklę. Wturlałem się z powrotem na posłanie i zasnąłem kamiennym snem.

- Hura! Anka, Pikus ma się lepiej! Wypił wodę i spróbował kaszy!-ryknął mi nad uchem Piotrek, czym omalże nie

51

przyprawił mnie o palpitację serca. Zerwałem się na równe łapy i natychmiast klapnąłem z powrotem na posłanie.

- Piotrek, zachowujesz się jak dzikus. Czego tak ryczysz? Przestraszyłeś Pikusia.

Otworzyłem szeroko oczy i zobaczyłem stojących obok mnie dwoje dzieci. Ania była chyba w wieku Tereski, miała z dziesięć lat, Piotrek był młodszy o jakie dwa lata. (A więc w jakim wieku był Piotruś?)

Ania miała śliczne błyszczące brązowe włosy, tej samej barwy oczy i dużo piegów na nosku. O Piotruku mogę powiedzieć tylko tyle, że był bardzo chudy i miał odstające uszy.

Piotrek niewiele się przejął, czy kogo przestraszył, czy nie, tylko wrzasnął znowu:

- Mamooo! Pikus oprzytomniał! Chodź zaraz!

W drzwiach stała moja nowa pani. Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

- No, teraz już na pewno wyzdrowiejesz. Bardzo się cieszymy, piesku. Będiesz nam odtąd pilnował domu.

Zakręciło mi się w głowie, tym razem z radości. O niczym innym nie marzyłem. No, chyba że o polowaniu. Ale, jak się później okazało, w mieście to polować można wyłącznie na muchy.

Z każdym dniem wracałem do zdrowia. I każdy dzień przynosił mi wiele niespodzianek. Musiałem uczyć się nowego

52

świata. Taka na przykład winda. Dla ludzi to nic nadzwyczajnego. Wsiadają, naciskają guzik i jadą. A dla mnie? Kiedy pierwszy raz Piotrek wyprowadził mnie na spacer, przeżyłem prawdziwy szok.

Po pierwsze, założył mi na szyję skórzany pasek-nie wiem po co-do którego przytroczona była cienka linka. I tak prowadził mnie niczym krowę na postronku. Bardzo się tego wstydziłem. Ale starałem się być grzeczny i nie protestowałem. Po drugie, wyszedłszy z mieszkania podeszliśmy do innych drzwi. Piotrek nacisnął tkwiący w ścianie czerwony guzik, usłyszałem szum, drzwi się otworzyły, to znaczy Piotrek je otworzył i chciał mnie wciągnąć do jakiejś komórki. Strasznie się przeląknęłam i zaparłam wszystkimi czterema łapami.

- Nie chcę żyć w zamknięciu-zaskomliłem.

- Ależ z ciebie głuptas, Pikusiu! Nie bój się, to winda. Zjedziemy nią na dół zamiast schodzić po tyłu schodach-Piotrek pogłaskał mnie uspokajająco po głowie.

Udałem bohatera i wszedłem, ale kiedy ta dziwna komórka zaczęła pomału spadać, trząsnęłam się jak barani ogon. Dzisiaj oblewam się rumieńcem wstydu na samo wspomnienie, jak głupio się zachowywałam. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam dzwonek telefonu, wzdrygnęłam się, jakby potężny dzwon huknął mi nad głową. A gdy jeszcze Ania zaczęła mówić do słuchawki, pomyślałam, że chyba jej się coś poplątało w głowie. Nikogo przecież nie ma, a ona z kimś rozmawia...

53

Wszystko początkowo wydawało mi się dziwne i tajemnicze i przyprawiało o taki niepokój, że nie mogłam wprost spać ani jeść.

Przyznaję teraz, że się bałam. Strasznie się bałam. Dużo straszniej niż wtedy, kiedy walczyłem z Medorem czy dzikiem. I niż wtedy, kiedy myślałem, że umieram.

W pierwszym okresie mojego pobytu w mieście strach czułem wszędzie. Nawet w żołądku. Bał się mój ogon, uszy, łapy. Co mnie tu czeka? Czy przyzwyczaję się i nauczę żyć w świecie, gdzie nie ma lasów, gdzie nie słychać śpiewu ptaków, gdzie po ulicach pędzą z przerażającą szybkością przedziwne maszyny, zwane samochodami, tramwajami i autobusami? Gdzie nie widać konia, krowy, kury, świnki? A ludzie tylko się spieszą, pędzą gdzieś rozgorączkowani, potracając się i nie mówiąc sobie nawet przepraszam. No i jak taki mały wiejski kundel ma sobie w tym zgiełku, nerwowości i-przepraszam-niezbyt pachnącym powietrzu dać radę? Mój nos bez przerwy kichał z powodu kurzu i spalin samochodowych, oczy z tego samego powodu łzawiły, uszy głuchły od nieustannego szumu, gwizdu, terkotu, warkotu i różnorodnego dudnienia. No, mówię Wam, ten pierwszy okres był potworny. Pomału jednak przywykłam do miasta, choć przez całe moje długie czy krótkie -któż to wie -życie będę kochał wieś. Zwłaszcza wiejskie noce. Nigdy w mieście nie widziałem takiego rozgwieżdżonego nieba, chociaż często nocami, kiedy nie mogłam spać,

54

wpatrywałam się w okno, za którym też było niebo i gwiazdy, i księżyc. Ale wszystko to szarawe i wyblakłe. Wtedy ogarniała mnie taka tęsknota za lasem, polem, łąką, że chciało mi się wyć. Zaraz

jednak przychodziły chwile trzeźwości.

„Pikusiu-mówiłem sobie wtedy-nie wolno ci się maz-gaić. Masz wspaniałe życie, cudownych przyjaciół... Jakże się z tego nie cieszyć?”

I od razu czułem się lepiej. Bo rzeczywiście było się z czego cieszyć.

Zajęli się mną strasznie mili i dobrzy ludzie: pani Maria, pan Jan, Ania i Piotr. Pani Maria pracuje w jakiejś gazecie. Zdaje się, że najpierw była reporterką, a potem przenieśli ją do korekty. Nie wiem, dlaczego, Pani Maria była z tego jednak zadowolona.

- Przynajmniej wiele problemów mam z głowy-powiedziała.

Pan Jan jest inżynierem i pracuje w jakimś tam ministerstwie. Ale tak naprawdę to lubi pracować jedynie w swoim ogródku, który uprawia z wielkim zamiłowaniem.

Ania-starsza od Piotrka-świetnie się uczy, tylko jest straszną złośnicą i gadułą. Buzia się jej nie zamyka. Mówi bez przerwy. Złości się na szczęście rzadko i trwa to krótko, ale wtedy wszyscy jej schodzą z drogi udając, że nie zauważają jej humorków. Tylko Piotrek mruga wtedy do mnie porozumiewawczo i kreśli kółko na czole, że niby ta Anka to coś nie tego...

56

Ania ma mnóstwo koleżanek, które często do niej przychodzą. Pieska twoja niebieska, co się wtedy dzieje! Wyrzucają Piotrka z pokoju, bo mają swoje tajemnice, których nikt nie może znać. Mnie nie trzeba wyrzucać. Sam niepostrzeżenie wymykam się stamtąd, bo z tymi dziewczynami rzeczywiście trudno wytrzymać. W głowie się mąci od ich „ochów” i „achów”, od tych śmieszków, pokrzykiwań i pieszczot. Jedna przez drugą mnie pieści, głaszcze, całuje, drapie za uchem i zachwycą się mną. Bardzo to lubię, ale bez przesady. To tak, jakby się jadło wyłącznie ciastka z kremem. Uciekam więc i chowam się pod stolik w kuchni. Tam podrzemuję i przeczekuję nalot młodych dam.

Zupełnie inaczej wygląda dom, kiedy Piotrka odwiedzają koledzy. O, to już nie są żarty! Czasami boję się, że wyrócą wszystko do góry nogami. Zwłaszcza gdy przychodzą jego najlepsi przyjaciele, bliźniaki: Krzysztof i Zygmunt. Co ta trójka potrafi wyrabiać, tego się nie da opisać. Szalenie na przykład lubią robić doświadczenia chemiczne. Raz przynieśli jakiś proszek, połączyli go z innym, trochę podgrzali na palniku, zrobili z tego maluteńkie grudki i porozrzucali po przedpokoju. Upłynęło kilka minut i nagle... bach, bach, bach! Zerwałem się na równe łapy.

Bombardowanie! A to proszek zaczął wybuchać, płonąc zielonym-na szczęście krótkim-ognikiem i rozsiewając zapach tak straszny, że mieszkania długo potem nie można było wywietrzyć. Okazało się, że wypróbowywali stopień wybuchowości różnych mieszanin,

57

uzyskanych oczywiście metodą chałupniczą. Nie muszę chyba opowiadać, co się potem działo.

Piotrek porządnie za to oberwał. Bo jeszcze w dodatku proszek pozostawił w przedpokoju paskudne żółte ślady. Trójka chłopców musiała całą podłogę pastować i froterować.

Te wybuchy były zupełnie bezpieczne, ale potwornieśmy się wtedy wszyscy przestraszyli.

Wówczas to właśnie pan Jan poważnie porozmawiał z Piotrem. Najpierw ostro go zbeształ, a potem, kiedy Piotr wyznał, że naprawdę interesuje się chemią, że chce zostać chemikiem i że to było doświadczenie, powiedział:

- Jeśli interesujesz się chemią, to bardzo dobrze. Ale zabierz się do tego poważnie, a nie rób idiotyzmów, które mogą się źle skończyć. Jak będziesz trochę starszy, postaram ci się o różne popularne książki z dziedziny chemii, takie, które mógłbyś zrozumieć. Musisz się też zacząć uczyć łaciny, bo bez znajomości tego języka właściwie nic nie można studiować, a już chemia bez łaciny to jak człowiek bez głowy. A jak się zapoznasz bliżej z chemią, wtedy będziesz mógł robić rozmaite doświadczenia.

Tak się też stało. Piotr rzeczywiście zainteresował się chemią na serio i oboje z Anią uczyli się porządnie łaciny. A ja, słuchając ich, też zapamiętałem to i owo. Dlatego czasem mogę komuś zaimponować.

58

No, ale to było dużo później.

Na razie nie znałem jeszcze tylko pana Jana. Zadomowiłem się już prawie na dobre, kiedy

usłyszałem, jak pani Maria rozmawia z dziećmi na temat powrotu pana Jana, który od dwóch miesięcy przebywał za granicą.

- Słuchajcie, dzwonił do mnie z ministerstwa, że tata jutro wraca. Bardzo więc proszę, żebyście z tej okazji zrobili porządek w waszym pokoju. Po południu pojedziemy na lotnisko.

- Hura! - wrzasnął Piotrek. Muszę tu wtrącić, że jego wrzaski zawsze przyprawiają mnie niemal o atak serca. Nie rozumiem w ogóle, dlaczego chłopcy muszą tak głośno krzyczeć.

- Hura!-powtórzył Piotrek.-Okropnie lubię chodzić na lotnisko i oglądać samoloty.

- Mamo, czy weźmiemy Pikusia? - spytała rzeczowo Ania.

- Po co? Pikus spokojnie zostanie sobie w domu i tutaj poczeka. A w drodze powiemy ojcu o naszym nowym lokatorze.

Hmmm. Ten ojciec to pewnie będzie trudny orzech do zgryzienia. Z całych sił pragnąłem, żeby i on mnie polubił. Zawsze miałem jednak kłopoty z gospodarzami, więc i tym razem się bałem. Gdybym umiał jakieś sztuczki, natychmiast bym mu je

59

zaprezentował, a wtedy na pewno zachwyciłby się mną. Aleja nic nie umiałem. W dodatku po chorobie wyglądałem jak prawdziwe czupiradło: chudy, szorstka sierść stercząca na wszystkie strony, a ogonek okropnie wyłysiał, Pan doktor jednak zapewniał, że sierść mi się z czasem poprawi. Stale więc jeszcze łykałem najpaskudniejsze lekarstwa. Bardzo chciałem być szybko zdrowy i silny. Pani Maria zawsze powtarzała dzieciom, kiedy były chore, że dla dobrego smaku jest czekolada albo lody, a lekarstwo jest dla zdrowia i trzeba je grzecznie łykać.

Nie spałem z niepokoju całą noc. Następnego ranka wylizałem się skrupulatnie, żeby sierść lśniła, wygimnastykowałem się, żeby ruchy nabrały sprężystości, a kiedy Ania wróciła ze

60

szkoły, poprosiłem ją, żeby mnie uczesała. Zrobiłem więc, co mogłem, aby się wydać elegancki i urodziwy.

Po obiedzie wszyscy pojechali na lotnisko. Leżałem na posłaniu, drapiąc się nerwowo w głowę i usiłując gorączkowo wymyślić jakiś sposób, którym całkowicie podbiłbym serce pana Jana.

Rezultat był żaden. Nic nie wymyśliłem. Bo nic nie umiałem. I przypomniałem sobie przysłowie:

„Jak nie potrafisz, nie pchaj się na afisz”. Zapamiętajcie to sobie. Żeby komuś zaimponować, trzeba naprawdę coś umieć. Już widzę, jak ze znudzonymi minami myślicie o mnie: ależ to nudziarz, stale chce nas pouczać. Wiem, wiem, że na ogół nie lubicie i nie uznajecie uwag starszych od siebie.

Dobrze by jednak było, gdybyście się czasem nad nimi zastanowili, zanim je zlekceważycie. Co Wam to szkodzi? Może się tak zdarzyć, że i starsi mogą mieć rację.

Zrezygnowany i pełen niepokoju czekałem na mojego nowego pana. A może mnie pokocha od pierwszego wejrzenia? Co z tego, że nie wyglądam teraz zbyt atrakcyjnie. Przecież nie to ładne, co ładne, ale to, co się komu podoba. Oj, coś za bardzo zaczynam rzucać przysłowiami. Ze zdenerwowania.

Oto... serce zabiło mi mocno, kiedy usłyszałem szcęk drzwi w przedpokoju i wesołe głosy. Ania i Piotr gadali jednocześnie, każde o czym innym, pani Maria pytała, czy nastawić herbatę, na co męski głos, śmiejąc się, powiedział:

- Tyle lat jesteśmy już po ślubie, a ty się jeszcze

61

nie przyzwyczaiłaś, że nie pijam herbaty. Może masz kompot? ...Zamieszanie, wesołe pogwarki, pytania: „Tato, a co mi przywiozłeś?” Wreszcie usłyszałem głos Piotra:

- Pikusiu, dlaczego nie przychodzisz przywitać się z panem?

- Nie chciałem przeszkadzać-odpowiedziałem grzecznie i powoli, prawie na sztywnych łapach, z zamartwym sercem w gardle wysunąłem się do przedpokoju. Przyjmie mnie do rodziny, czy wyrzuci? Spojrzałem w górę i napotkałem wesołe spojrzenie szarych oczu.

Wtedy, zupełnie nie zdając sobie sprawy, co robię, podskoczyłem po dziecinnemu i zacząłem się kręcić za własnym ogonkiem, wesoło poszczekując. Kręciłem się w kółko tak szybko, że straciłem równowagę i fiknąłem kozła. Wszyscy się roześmiali, a ja, speszony, spuściłem głowę.

- Umiesz pięknie tańczyć, Pikusiu-pochwalił pan Jan.

- Prawda, tatusiu, że on jest śliczny?-wykrzyknęła pompatycznie Ania.
- No, może nie jest to wielka uroda, ale zapewne duża indywidualność - odparł pan Jan.
- Och, ty babo-pogardliwie odezwał się Piotrek do Ani. - Dziewczyny to zawsze tylko o urodzie. Pies to pies, a nie jakiś tam amant filmowy. Ale żebyś wiedział, tato, jaki on czujny!

62

I jak szybko biega! Gdy wychodzę z nim na podwórko, to tak zasuwa na tych swoich łapkach... i wszędzie wlezie. A jak skacze! I jaki jest ostry! Zobaczysz, to fajowy pies!-chwalił mnie trochę zbyt nerwowo.

- Nie wiem, dlaczego tak mnie o tym zapewniasz. Sam się przecież przekonam, bo chyba się z Pikusiem zaprzyjaźnimy, co, piesku?

I tak ostatecznie zostałem przyjęty do rodziny.

No i zaczęło powodzić mi się cudownie, chyba tylko sam król albo milioner mógłby mieć lepsze życie. Kiedy Piotrek szedł na osiedle grać w piłkę z chłopakami, zawsze mnie ze sobą zabierał, bo ja byłem od podawania piłki. Jak poleciała daleko na aut, to biegłem za nią i nosem turlałem ją z powrotem na boisko. Koledzy Piotrka nazywali mnie „Rezerwowym”. Kiedy Piotrek jeździł na rowerze, biegałem za nim i udawałem, że chcę go złapać za łydkę. To były pyszne zabawy. Z Anią natomiast chodziłem na spacer. Ale to już było trochę nudnawe. Przed każdym wyjściem Ania mnie długo i starannie wyczesawała, zakładała piękną obrózkę i kazała chodzić przy nodze. Sama szła zawsze godnie, udając, że nie widzi stojących przy trzepaku chłopców, którzy na jej widok zaczynali się ze sobą mocować, żeby zademonstrować siłę i zręczność.

63

- Pikusiu, idź grzecznie przy nodze-mawiała wtedy Ania. - Nie patrz na tych łobuziaków. Jej głosik był wtedy zabawnie cienki. Nigdy w domu takim nie mówiła. Doprawdy, dziwne są dziewczynki. Mała czy duża, na widok chłopaka traci głowę, w najlepszym wypadku głos. Największą jednak radość sprawiały mi niedzielne wycieczki za miasto. Jeśli tylko była ładna pogoda, zabieraliśmy jedzenie i dużo kompotu do picia i jechaliśmy najczęściej do lasu albo nad wodę. To było wspaniałe! Wtedy przypominałem sobie moje dzieciństwo i biegałem, aż mi serce stawało ze zmęczenia. Raz wyniuchałem na polu zająca. Poniosła mnie żyłka myśliwego i puściłem się za nim w pogoń jak szalony. Nie słuchałem nawoływań, żebym wrócił, to było silniejsze ode mnie. Zając był jednak szybszy. Zawsze jest zresztą szybszy. Ale co szkodzi spróbować? A nuż go dopadnę? Wróciłem dopiero wówczas, kiedy zając zginął z pola mojego widzenia i węchu. Na takich niedzielnych wycieczkach zachowywałem się jak wiejski kundel. Wszystkie psy mieszkające na wsi, jeśli nie są uwiązane na łańcuchu, to biegają sobie, gdzie chcą, i nikt się o nie nie martwi ani nie wypytuje, gdzie były. Mogą nawet nie wrócić do domu na noc. Najwyżej dostaną za swoje, że nie pilnują chałupy. W mieście pieski spacerują zazwyczaj na smyczy albo bawią się

64

pod okiem właściciela w zasięgu jego wzroku. Więc biegamy sobie i bawimy się blisko domu. Chciałbym tu opisać pierwsze spotkanie z pewnym miejskim psem. Moje zdumienie nie miało granic, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Beniamina. Już samo imię potężnie mną wstrząsnęło. Beniamin! Byłby zapewne pięknym psem, gdyby nie to, co zrobili z niego ludzie.

Ale zacznę od początku. Wyszedłem na osiedle z Piotrkim, który spotkał kolegów. Poszli razem na trzepak, żeby tam wyprawiać jakieś nadzwyczajne akrobacje. Ja miałem nigdzie nie odchodzić, tylko pilnować roweru. W porządku. Lubię mieć zadanie do wykonania. Usiadłem więc przy rowerze i rozglądałem

5 - Pamiętnik...

65

się dokoła. Nagle oczom moim ukazała się dziwna postać. Pies, nie pies, cudak, nie cudak? Zapach ma psi, ale wygląd? Ki diasek? Podeszedłem do niego ostrożnie, pomerdując na wszelki wypadek przyjaźnie ogonkiem i oczekując od niego również ogonkowej odpowiedzi. Ale cóż on miał zamiast ogonka? Jakiś kikut zakończony pomponikiem! Na chudziutkich nóżkach nad samymi stopami sterczały puchate mankiety. Zadnia połowa ciała była prawie goła, za to cały przód w gęstych, czarnych, skręconych kudłach. Na łbie kiwał mu się natapirowany czub.

- Dzień dobry, jestem Pikus-przedstawiłem się grzecznie i światowo.
 - Słucham?-odpowiedział mi lodowaty głos.
 - Jestem Pikus-powtórzyłem głośniejsze, bo myślałem, że nie dosłyszysz.-A ty jak się wabisz i czy jesteś psem czy jakąś dziwną odmianą?
 - No wiesz-mruknął mi to pies, ni to bies.-Oczywiście, że jestem psem. Dziwię się, że masz wątpliwości. Jestem rasowym pudlem. I to królewskim! Mam nawet rodowód. A ty to pewnie jakiś tam wiejski kundel, że nie rozróżniasz ras?
- Rasa? Rodowód? Królewski? O czym on mówi? To on nie wie, że na ogół żyje się teraz w społeczeństwie bez-klasowym, bezkrólewskim, że o rasizmie lepiej w ogóle nie wspominać?

66

Wyjaśniłem mu swój pogląd na tę sprawę, ale on tylko prychnął lekceważąco i rzekł:

- Jesteś prostak i nie rozumiesz się na tym. Ja co roku jeżdżę na wystawy psów rasowych i dostałem już wiele złotych medali. Więc się nie mądrz, kmiotku jeden!
- Może on i jest rasowy, rzeczywiście nie znam się na tym, ale za to znam się na grzeczności i wiedziałem, że grzeczny to on nie jest.
- Beniamin, wracamy do domu-rozległ się głos najwyraźniej wołający mojego nowego znajomego. Ale Beniamin ani drgnął. Patrzył na mnie z góry, pewnie kombinował, czym by mi tu jeszcze zaimponować.
 - Ty się nazywasz Beniamin?-spytałem.
 - Tak, bo co?-odpowiedział pytaniem na pytanie.
 - Bo cię wołają.
 - Phi, no to co? Niech wołają. Wrócę do domu, jeśli będę chciał. A teraz chcę jeszcze pospacerować.

- Beniamin! Beniamin! Wracaj, śpiesz się! Chodź do domu!

- Słyszysz, Beniamin? Twój pan się spieszy.

- A co mnie to obchodzi? Nie pozwalam sobą rządzić. Kiedyś, gdy wyprowadziła mnie na spacer jego córeczka, to aż się popłakała, bo ja nie chciałem wracać, a ona nie mogła mnie złapać.

5*

67

I spóźniła się przez to do szkoły. Ale była heca! Pękałem ze śmiechu! Już, już miała mnie dopaść, a ja jej wtedy myk, i pędzę na drugi koniec trawnika. I tak ją przegoniłem z dobrą godzinę. Poczułem, że wzbiera we mnie złość na tego bęcwała.

- A nie możesz sobie wyobrazić-ciągnął Beniamin tonem rozkapryszonego bobaska-co wyprawiam, jak mnie strzygą na lewka. Przychodzi do mnie specjalny fryzjer. Jak ci się moja fryzura podoba?-i zaczął się przede mną kręcić na wszystkie strony i krygować.

Poczułem, że wzbiera we mnie jeszcze większa złość.

- No, ty się pewnie na tym nie znasz. Nie wiem, dlaczego w ogóle z tobą rozmawiam. Ja przebywam wyłącznie w najlepszym towarzystwie.

- Beniamin, wracaj natychmiast!-wołający pan szedł energicznym krokiem w naszą stronę.

Beniamin, jakby tego nie dostrzegając, mówił dalej:

- Więc jak przychodzi ten fryzjer, to ja ich wszystkich gryzę. Oni mi się podlizują, żebym stał spokojnie, dają mi największe frykasy: ciasteczka, czekoladę, szwajcarską, bo wedlowskiej nie biorę do pyska, a ja ich tak pomęcę godzinę, półtorej i potem się zgadzam. Choć nie powiem, żebym lubił to strzyżenie. Czego się jednak nie robi dla urody i elegancji? Potem mnie czeszą, szczotkują, tapirują mi łeb. Zwłaszcza przed wystawą wyprawiają ze mną takie hocki-klocki.

68

Bulgocząca we mnie wściekłość walczyła z niedowierzaniem. Czy on tylko blaguje, czy też naprawdę jego właściciele tak postępują? Nie chciałem ich krytykować, ale coś mi się wydaje, że... zasłużyli na takiego pyszałka.

Pan Beniamina był już blisko. Jeszcze parę kroków, dwa, jeden i... Beniamin zrobił szybki unik i przystanął oddalony o kilka metrów, kiwając szydyczko ogonkiem.

Pan znowu zaczął wolniutko podchodzić do Beniamina i kiedy już wydawało się, że go pochwyci, Beniamin znowu uskoczył w drugą stronę. Pan go błagał, prosił, obiecywał mu na przemian to tęgie

lanie, to najlepszą czekoladkę. A Beniamin bawił się z nim w kotka i myszkę. Przyglądałem się temu z najwyższym niesmakiem. Beniamin wart był potężnych kijów. A pan powinien sobie spokojnie pójść do domu i zostawić go. Niechby się przekonał, że samotnemu psu bardzo jest ciężko. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w miastach grasują złodzieje psów. Do głowy mi nie przyszło, że psy są towarem, na którym można zarobić. Zabawa w kotka i myszkę trwała nadal. Pan, mimo chłodu, ocierał pot z czoła, a ten bezczelny rasowiec kpił sobie z niego w żywe oczy. Tego już nadto. Poczekalem na odpowiednią chwilę i kiedy Beniamin znalazł się w sporej odległości od pana, ruszyłem na niego jak strzała. Podejrzałem, że jest tchórzem. Dopadłem nie przeczuwającego z mojej strony ataku Beniamina i

69
jak go capnę za tylną nogę, jak podskoczę do tego pomponiastego ogonka, jak huknę z całych sił:
- Ruszaj natychmiast do domu, ty pyszałkowaty zarozumiałcze! Ale już! I przestań się zgrywać na idola rockowego! Ty pomponie! Ty psi lwie! Ty tchórze!

Beniamin zamarł. Prawdopodobnie nikt go tak jeszcze nie potraktował. A potem położył uszy po sobie, podkulił ten swój idiotyczny pomponik i skomląc pobiegł szybko do pana. A potem schował się za niego i tylko wysunął łeb zza jego nogi i zdenerwowanym dyszkantem pisnął jak mysz:

- Ja ci jeszcze pokażę, ty ruda pokrako!
- Dobra, dobra. Jak będziesz miał co, to pokaż. A na razie żegnam uniżenie.

I godnie wróciłem pilnować roweru Piotrka.

Spotykałem Beniamina dosyć często, bo mieszkał w tym samym osiedlu, ale bardzo rzadko rozmawialiśmy ze sobą. Nie poculiśmy do siebie sympatii. Beniamin właściwie mnie unikał. Kiedy byłem w towarzystwie jakiegoś innego pieska, udawał, że mnie nie poznaje. Pewno się bał, że opowiem, jak przede mną uciekał. Głuptas. Prawdziwy dżentelmen jest dyskretny i nigdy nie obszczekuje jednego przed drugim.

70

Jak Wam już mówiłem, powodziło mi się w moim nowym domu cudownie. Pokochałem moją ludzką rodzinę z całego serca i starałem się zawsze dobrze zachowywać. Kiedy przychodzili goście, witałem ich przyjaznym szczekaniem-wszystkich, bez wyjątku-chociaż nie wszystkich lubilem tak samo. Bo my, pieski, mamy pewne specjalne właściwości. Gdy tylko na kogoś uważnie spojrzymy, wiemy, czy ten ktoś zasługuje na miłość, czy nie. Czy jest dobry, czy nie, czy bardzo, bardzo, bardzo dobry, czy tylko trochę. Wiemy, czy ktoś jest kłamczuchem, leniuszkiem, o, my wszystko wiemy. Oczywiście zaraz sobie pomyślicie, że się przechwalam. Bo Wy nie chcecie wierzyć w żadne cudowne właściwości. Wolicie UFO. Jakby jedno drugiemu coś przeszkadzało. Ale poczekajcie, zaraz wam coś opowiem, co może zachwieje waszym stanowiskiem w sprawie czarów-marów.

Przyszedł raz do nas siostrzeniec pani Marii, Tomek. Taki maluch o jasnych włoskach, niebieskich oczach i zadartym nosku. Strasznie przemądrzały. Była też z wizytą przyjaciółka pani Marii, pani Zosia. Zobaczywszy Tomka, zapytała:

- Jak się masz, Tomek, czy wiesz, że jesteś bardzo podobny do krasnoludka?

Tomek się napuszył i odpowiedział:

- Phoszę pani-Tomek nie wymawiał literki „r”-nie mogę być podobny do khasnoludka, bo khasnoludków nie ma na świecie.

71

- Jak to?-zdumiała się pani Zosia, która wszystko wiedziała o krasnoludkach, skrzatach i kanaponach. Dzieci obecnie mało się nimi interesują, wolą kosmonautów i dlatego krasnoludków nie widzą. - To ty nigdy nie spotkałeś krasnoludka?

- Nie mogłem spotkać, bo khasnoludki nie istnieją.

- No, to kto zjada okruszynki, co zostają na stole po śniadaniu albo kolacji?

- Nie wiem, moja mama zahaz wszystko sprząta i zmiata.

- Żal mi cię, Tomku - rzekła pani Zosia. - Ja, kiedy byłem mała, miałam wielu przyjaciół wśród krasnoludków i skrzacików. Bardzo byli weseli i mili. Przychodzili do mnie najczęściej, jak już leżałam w łóżku i zasypiałam. Opowiadali mi rozmaite zabawne historyjki. A potem te historyjki mi

się śniły. Bardzo się zawsze cieszyłam, kiedy do mnie przychodzili.

- Eeee - skrzywił się Tomek niedowierzająco, ale w jego oczach błysnęło lekkie zainteresowanie. Rozmowę przerwała pani Maria, która właśnie weszła do pokoju z herbatą i kruchymi ciasteczkami. Obie panie rozsiadły się wygodnie na fotelach, popijając herbatkę i rozmawiając o swoich sprawach.

Tomek wziął ciasteczko, nadgryzł, a resztę drobniuteńko pokruszył w kąciku. Zaraz się domyśliłem- chociaż mówił, że nie

72

wierzy w krasnoludki, to po opowieści pani Zosi nie mógł wykluczyć jednak ich istnienia. I rzeczywiście, po chwili zapytał panią Zosię: *

- Phoszę pani, a koniki polne to pewnie koniki khasno-ludków?

Pani Zosia zapewniła go gorąco, że oczywiście, że tak.

Od tej pory Tomek stał się wielkim przyjacielem tych maleńkich skrzatów i wspaniale się z nimi wieczorami bawił, kiedy pozostawał sam w łóżeczku. Bo muszę jeszcze dodać, że ani krasnoludki, ani skrzaty, ani tym bardziej kanapony nie lubią dużego towarzystwa. Przychodzą wtedy, kiedy pozostajecie sami, czego zazwyczaj nie lubicie, prawda?

Zapewniam Was i chciałbym bardzo, żebyście mi uwierzyli (bo jak na psa żyję już bardzo długo na świecie i widziałem różne różności), że na ziemi dzieje się wiele najcudowniejszych cudeniek.

Trzeba tylko chcieć w nie wierzyć.

Któregoś popołudnia, a było to już z początkiem mojej drugiej zimy w mieście, zawołała mnie pani Maria:

- Chodź, Pikusiu, pójdziemy do cukierni kupić ciasto, bo przyjdzie pani Basia, a ja nie mam nic do herbaty.

Założyła mi czerwoną obrózkę i wyszliśmy z domu. Pogoda była prawdziwie pod psem. Padał zimny, mokry

73

śnieg. Bardzo tego nie lubię, ponieważ nie tylko ziębi, ale i moczy. Kiedy doszliśmy do cukierni, pani Maria kazała mi poczekać przed wejściem, bo do środka psów nie wpuszczają. Uważają, że psy są brudniejsze od ludzi. Hmm. Mam pewne wątpliwości. W każdym razie co do pewnych ludzi. Ale niech będzie.

Pani Maria weszła do ciastkarni, a ja usiadłem sobie grzecznie z boku koło schodków, żeby nikomu nie przeszkadzać, bo zawsze zwracałem i zwracam uwagę na dobre maniere. Miło jest mieć przecież do czynienia z kimś, kto jest uprzejmy, uśmiechnięty, ładnie się kłania, mówi dziękuję, przepraszam, ustępuje miejsca starszym w tramwaju czy autobusie, prawda? Jestem pewny, że Wy też wolicie grzeczne dzieci, pieski, kotki niż opryskliwe, aroganckie, kłamliwe i leniwe.

A więc usiadłem sobie grzecznie i czekałem. Mokra płatki śniegu padały mi na oczy, uszy, na całą sierść i natychmiast zamieniały się w tęczowo migocące kropelki. Chociaż nie lubiłem takiej pogody, to musiałem przyznać, że była piękna. Wszystko dookoła błyszczało i lśniło w świetle neonów i lamp ulicznych. Nie należało tylko patrzeć pod nogi, na ziemi bowiem bieluteńki śnieżek wcale nie zamieniał się w brylantowe kropelki, tylko w brudną, czarną maź, po której dreptały przemoczone i zabłocone nogi.

Patrzyłem więc prosto przed siebie i przyglądałem się przechodzącym ludziom i pieskom. Niektóre z psów znałem, bo

74

już się z nimi bawiłem. Biegaliśmy razem, gonili się, opowiadaliśmy sobie różne historyjki-raz wesołe, raz smutne-w ogóle wszystko, co nam się przydarzyło. Właśnie pędził do domu Kajtek, wesoły urwis, którego pani, wbrew nakazom administracji, że psy wolno wyprowadzać tylko na smyczy, wypuszczała samego na długie godziny. Kajtek odwiedzał wszystkie mieszkające w sąsiedztwie psy, bo ogromnie był towarzyski. Doskonale wiedział, jak przechodzić przez jezdnię. Nigdy nie przebiegał ulicy przy czerwonym świetle, zawsze czekał na zielone. Wiedział, że czerwone znaczy: stop, nie przechodź. Zielone: wolno iść.

- Hej, Pikus!-zawołał do mnie.-Nie siedź za długo na tym śniegu, bo zamienisz się w zimną kałużę.

Lecę do domu, bardzo przemokłem. Zobaczymy się jutro?

- Chętnie-odpowiedziałem. Lubilem tego miłego łobuziaka.

- No to cześć, czołem, spotkamy się pod stołem-zażartował na pożegnanie Kajtek.

Sypał zabawnymi powiedzonkami jak z rękawa.

A oto wielkimi susami biegnie w kierunku swojego domu wielki dog Kuba. Jest filozofem i bardzo lubi rozmawiać na bardzo poważne tematy. Słucham go z dużym zainteresowaniem. Tylko że mamy trudności ze zrównaniem naszych kroków. Ja, żeby nadażyć za jego jednym krokiem, muszę zrobić chyba z dziesięć, a on znowu, żeby dorównać jednemu mojemu, musi prawie dreptać

75

w miejscu. A że lubi rozprawiać spacerując, więc wynikają pewne trudności.

- Czekasz zapewne na swoją panią, co? Mam nadzieję, że nie potrwa to długo, w przeciwnym razie mógłbyś się zaziębić. Wirusy najczęściej atakują organizm przy takiej właśnie pogodzie. Według najnowszych badań najlepiej...

- Kuba-przerwałem mu, bo wiedziałem, że jeśli zacznie rozprawiać o wirusach i najnowszych badaniach, to się naprawdę zaziębię, bo będzie to trwało bardzo długo. -Kuba, jutro mi o tym opowiesz, teraz wracaj lepiej do domu, pogoda jest rzeczywiście, jak to się mówi, pod zdechłym Azorkiem.

- No, to serwus-zgodził się Kuba.

- Serwus.

Wstałem, otrząsałem się ze śniegu, który mimo mej gęstej sierści już mnie zaczynał ziębić, podreptałem sobie trochę w miejscu, żeby mi nóżki nie zmarzły, i nagle... serce mi stanęło, a potem zaczęło bić jak oszalałe, aż mi zabrakło tchu.

Naprzeciw mnie szła sunia takiej urody, że oczom własnym nie mogłem uwierzyć.

Maleńka, zgrabna, z piękną jedwabistą sierścią. Nad oczkami jak czarne paciorki miała czerwoną kokardką związane złociste włoski. Była tak puchata, że nie mogłem dostrzec nic innego poza czarnymi oczkami i czerwoną kokardą. Dreptała koło nóg swojej pani z taką gracją, iż wątpię, czy najwięk-

76

4

U

sza gwiazda filmowa albo miss świata mogłaby kroczyć ładniej.

Wyglądała jak zjawisko, jak królewna, rusalka, nimfa leśna, która pojawiła się w to śnieżne i zimne popołudnie, aby takiemu wiejskiemu kundlowi-brzydalowi jak ja rozjaśnić życie.

Patrzyłem na nią nieprzytomnie oczarowany.

- Hej, przyjacielu!-usłyszałem nagle ochrypy głos pewnego niegrzecznego psiska. Znałem go bardziej z widzenia niż osobiście. Miał dziwne imię: Psinco. I niesympatycznego pana, który ponuro wpatrywał się w każdego z nas, bo nie lubił zwierząt w ogóle, oprócz swego Psinca. Dawał to nam zresztą poznać szcując na nas swego Psinca i obdarzając to kopniakiem, to kamieniem przy lada okazji.

Powróciłem z nieba na ziemię.

- Słucham?-spytałem oziębłe.

- Hej, przyjacielu-powtórzył Psinco.-Cóż tak wlepiasz w tę ślicznotkę swoje głupie gały?

Wyglądasz jak spsiały baran albo zbaraniała psiura. Obejrzyj się w lusterku, chi, chi, chi, to się przekonasz, że lepiej by już było skryć się w mysia dziurę. Taki ryży pokurcz jak ty nie ma szans u żadnej suki! Więc spływaj lepiej, marcowy kawalerze! He, he, he...-śmiał się ochryple.

„Ty też nie masz żadnych szans, bo jesteś zwykłym opryskiem" - chciałem mu odpowiedzieć. Ale nie wypadało mi się zadawać z takim niewychowanym i ordynarnym osobnikiem.

78

- No, dlaczego nic nie mówisz? Zatkano cię, co? Bo wiesz, że mam rację. Spróbuj do niej zagadać, odwali cię jak nic, ty rudzielcu!

Zagotowała się we mnie wściekłość. Dawno nie przeżywałem podobnego uczucia. W moim

miejskim życiu wszyscy byli dla mnie dobrzy.

Zapomniałem więc, co to złość. Na szczęście na Psinca zagwizdał jakiś koleżka, równie nie wychowany jak on. Psinco wykrzywił się więc tylko do mnie, pokazał język i już go nie było. Zjawisko stało kilka kroków ode mnie. Szczęśliwie jej pani spotkała znajomą i przystanęła, żeby porozmawiać. Zjawisko wyraźnie patrzyło w moją stronę, i to patrzyło bardzo życzliwie. Czy to możliwe? Czy to możliwe, że nie muszę się chować w mysia dziurę? Że mój wygląd może wzbudzić sympatię? Że mam szansę zawrzeć z nią znajomość? Byłem tak onieśmielony jak nigdy. A poza tym nogi mi wrosły w ziemię. Nie mogłem zrobić kroku. Ponieważ jednak usłyszałem, że pani nadobnej suni zaczyna się żegnać ze znajomą, zebrałem wszystkie siły i udając wielkiego bywalca salonowego i światowca podszedłem eleganckim kroczkiem do damy mego serca i ukloniłem się wytwornie.

- Czy mogę się przedstawić? Jestem Pikus. Byłbym szczęśliwy, gdybyśmy się mogli kiedyś jeszcze spotkać i porozmawiać. Czy mieszkasz w tej okolicy?

- Nazywam się Perełka i chętnie bym się z tobą spotkała,

79

ale mieszkam trochę dalej i rzadko tu przychodzę. Tylko wtedy, kiedy moja pani ma tu coś do załatwienia.

- Perełko, idziemy-rozległ się głos jej pani. Prawdziwy pech. Co robić?! Jak zatrzymać Perełkę?!
Choć na chwilę, na ułamek chwili!!! Nie mogę jej stracić, kiedy dopiero co ją poznałem!!!

- Muszę już iść Pikusiu. Miło mi było cię poznać. Może się jeszcze spotkamy...

- Perełko, Perełko-powtarzałem nerwowo.-Poczekaj chwilkę, chciałem ci powiedzieć, że jeszcze nigdy nie miałem prawdziwej psiej przyjaciółki. Czy chciałabyś nią zostać?

- Co mówisz, Pikusiu? Nie dosłyszałam-zawołała Perełka, bo już odeszła ode mnie spory kawałek.

W tym momencie straciłem głowę i popełniłem straszną rzecz. Nie zastanawiając się w ogóle, co robię, ruszyłem za nią. Dogoniłem ją i, szczęśliwy, szedłem obok, jakbym ją odprowadzał.

Perełka była miła, łagodna i wesoła. W jej czarnych oczach migotały gwiazdy, puszyste włosy okalały zabawny pyszczek, nad którym dumnie sterczała czerwona kokardka.

- Wiesz, nie mam wielu znajomych-opowiadała.-Moja pani nie wypuszcza mnie samej na ulicę. Boi się, żeby mnie nie porwano. Bo są tacy źli ludzie, którzy porywają pieski, żeby je potem sprzedać.

80

- Słyszałem o tym. To naprawdę straszne. Ale ja bym się nie dał. Ooo, bo mimo mego niewielkiego wzrostu jestem psem ostrym i potrafiłbym się obronić. Ciebie też bym obronił. Kiedyś pokonałem w prawdziwej walce wielkiego psa. I dzika. Nawet zostałem ranny-nie mogłem sobie odmówić, żeby się nie pochwalić.

- Naprawdę? Walczyłeś z dzikiem?-w oczach Perełki wyczytałem podziw.-I dzik cię zranił? Czy bardzo cierpiałeś?

- No, dosyć. Ale wylizałem się z tego szybko.

- A gdzie ty spotkał dzika? Czy jeździsz na polowania?

- Hmm, jak by ci tu rzec... To rzeczywiście było coś w rodzaju polowania, choć nie takiego, jakie sobie może wyobrażasz. W ogóle to miałem dość ciekawe życie i dużo różnych przygód.

Gdybyśmy mieli więcej czasu, tobym ci opowiedział.

- Niestety, już się zbliżamy do domu. Moje życie natomiast jest trochę monotonne. Mieszkam z panią, która nie ma nikogo prócz mnie. Straciła całą rodzinę w czasie wojny. Została samiuteńka. Więc mam tyle rozrywki, co na spacerze. A nie chcę odchodzić od nogi mojej pani, żeby jej nie niepokoić. Miała takie smutne życie, że chcę je jej umilić, a nie przysparzać zmartwień.

Perełka odznaczała się nie tylko urodą, ale i wspaniałym charakterem.

- Chętnie bym posłuchała o twoich przygodach. Zwłaszcza-

6 -Pamiętnik...

81

cza że jesteś taki odważny. Z tobą bym się nie bała, że mnie ktoś porwie.

- I słusznie.

Czułem, że z dumy podrosłem kilka centymetrów.

- Wiesz, Perełko, ja też sam nie biegam po mieście, poproszę jednak kogoś z domowników, żeby przyszli tu kiedyś ze mną na spacer, to się spotkamy i opowiem ci wiele interesujących rzeczy, dobrze?

- Och tak, to byłoby wspaniale! Będę czekała z niecierpliwością. Ale teraz musimy się pożegnać. Mieszkam w tym domu. Pa, do szybkiego zobaczenia. Cieszę się, żeśmy się spotkali.

I Perełka zniknęła w bramie domu. A ja stałem jeszcze długo w tym samym miejscu i widziałem ją oczami duszy. Przypominałem sobie każde jej słowo, każdy ruch ogonkiem. Bo chyba nie muszę Wam wyjaśniać, że my mamy ogonek nie tylko dla urody czy parady, ale także dla wyrażania swych uczuć. Każde machnięcie ogonka oznacza coś innego: wesołość, radość, pochlebstwo, wściekłość, smutek, no w ogóle wszystko. Dlatego na przykład nie możemy grać w brydża. Bo ogonek zdradziłby naszemu przeciwnikowi, jakie mamy karty: dobre czy złe.

Musiałem stać dosyć długo w radosnym rozmarzeniu przed domem Perełki, bo nagle poczułem, że jest mi bardzo zim-

82

no, że zupełnie przemokłem, a na dworze całkiem się ściemniło. I wtedy dopiero wróciła mi przytomność. Zrobiło mi się z przerażenia jeszcze zimniej. Zadrzałem. Co ja zrobiłem?! Przecież pani Maria już dawno wyszła ze sklepu i oczywiście nie zastała mnie w miejscu, gdzie powinienem był na nią czekać. Na pewno mnie woła, szuka. Jest zdenerwowana moim zniknięciem... Jak mogłem tak postąpić?! Nawet uroda i dobroć Perełki nie mogą mnie usprawiedliwić. Jestem wstrętnym niewdzięcznikiem. Perełka nigdy by tak nie postąpiła. Cóż z tego, że chciałem być z nią jak najdłużej? Nie wolno mi było odejść od sklepu! Nie wolno mi było narazić na niepokój pani Marii! Pewnie mnie już wszyscy szukają. Myślę, że zostałem porwany albo że spotkało mnie coś jeszcze gorszego. Że wpadłem pod tramwaj lub samochód. Mimo zimna, ze zdenerwowania aż się spociłem. Muszę jak najszybciej wrócić do domu i przeprosić wszystkich za moje okropne zachowanie! I puściłem się pędem przed siebie. Biegłem szybko, coraz szybciej... Ale zaraz, zaraz... Dokąd ja tak pędzę? Gdzie stoi mój dom? Kiedy szedłem obok Perełki, byłem nieprzytomny ze szczęścia i nic dokoła nie widziałem. Cóż teraz zrobić?

Dokąd pójść? Kogo zapytać?

Usiłowałem węszyć. Szedłem teraz wolno, z nosem przy ziemi, żeby złapać ślad. Nic z tego. Czułem tylko woń spalin i brudnego śniegu. Może powinienem iść w innym kierunku? Zawróciłem. I znów z nosem przy ziemi starałem się wytropić znajomy zapach. Już, już wydawało mi się, że poczułem własny dom. Niestety, to była pomyłka. A może należy pójść tą ulicą? Nie, tu już jest całkiem obco. Zawróciłem i powtórnie znalazłem się w pobliżu domu Perełki. Zacząłem więc od początku. Biegnę w lewo. Może zobaczą znajome domy, sklepy? Nic z tego. Ponownie zawracam. Pędzę teraz w prawo. Obco. Naprzód-obco. Do tyłu-obco. Co będzie? Co będzie?! Nigdzie znajomej sylwetki, znajomego zapachu, znajomych śladów... Przysiadłem koło sklepu, żeby się zastanowić. Potknął się o mnie jakiś przechodzień i zaraz na mnie nakrzyczał:

- Że też te psy wszędzie się włóczą i wpadają pod nogi! A pójdziesz ty!

84

Nie zwrócił uwagi na moje zmoczone kudły, na mój przerażony i smutny wzrok. Od razu miał mi za złe, że się o mnie potknął. To on przecież mi nadepnął na łapę, a nie ja jemu na nogę. Niektórzy ludzie są niesprawiedliwi. A może on też się zgubił i jest zdenerwowany? No, jaki jest, taki jest, pies z nim tańczył, nie nad nim mam się teraz zastanawiać, tylko nad tym, jak trafić do domu. Śnieg padał coraz gęstszy, ściemniło się tak, że o metr od latarni nie było nic widać. Słyszało się tylko człapanie butów w śnieżnej mazi. I to coraz rzadsze. Kto mógł, uciekał do domu przed taką pogodą.

Nie ma rady, psia kostka, trzeba wstać i szukać dalej. Przecież gdzieś muszę złapać trop. Ach, gdybym był na wsi! Tam wszystko było swojskie. Każda ścieżynka, nawet najmniejsza, była znajoma, każdy dom, drzewo, krzak, ba, nawet kałuża czy kamień mógł mi wskazać miejsce, gdzie się znajduję. Ho, ho, tam mogłem wędrować godzinami po lesie i zawsze trafiałem z powrotem do

domu. Nigdy nie błdziłem. A tutaj ? Tutaj wszystko pachnie tak samo: szarością domów, kurzem i wyziewami samochodowymi.

No, ale nie wolno mi się poddawać.

I szedłem, biegłem, pędziłem. To w tym kierunku, to w innym. Aż mi się zakręciło w głowie, a serce waliło ze zmęczenia i lęku jak dzwon. Dostrzegłem jakiś skraweczek bezśnieżnej ziemi.

85

Dowlókłem się tam, żeby trochę odpocząć. Było to stosunkowo suche miejsce, bo pod ławką, która stała na skraju małego skwerku. Dyszałem ciężko, rzeziłem wprost. Nie czułem zimna, nie wiedziałem, że jestem całkiem przemoczony. W głowie tkwiła mi tylko jedna, jedyna myśl: Jak znaleźć dom? Przecież muszę, muszę go znaleźć! Nie mogę tutaj zostać. Trochę tylko odpocznę i zacznę wędrówkę na nowo.

Tymczasem ulice zupełnie opustoszały. Psa z kulawą nogą nie było. Nie wiedziałem, która to już godzina. Musiało być z pewnością późno. Sklepy pozamykano i wygaszono. W oknach domów mieszkalnych pomału również gasły światła. Nadchodziła noc.

„Pikusiu-powiedziałem sobie-odpocząłeś, wstawaj więc i w drogę”.

Podniosłem się, otrząsałem starannie ze stopniałego na mojej sierści śniegu i powlokłem dalej. Szedłem i szedłem, właściwie na oślep, byle naprzód, byle w jakieś nowe miejsce, które może będzie bliższe mojemu domowi.

Ale dom się nie przybliżał. Była już noc, więc postanowiłem gdzieś ją przeczekać i rano, kiedy się rozwidni, rozpocząć na nowo moją drogę ciernistą. W świetle dnia musi być łatwiej.

Rozejrzałem się i zobaczyłem uchylone drzwi jakiegoś domu. Wszedłem ostrożnie do sieni, w której na ścianie wisiał kaloryfer. Biło od niego zachęcające ciepłko. Ułożyłem się pod

86

nim i marzyłem, żeby mnie nikt nie wygonił. Pomału rozgrzałem się, może nawet trochę wyschłem, i zasnąłem. Obudził mnie ostry męski głos.

- A co ty tu robisz? Nie masz już gdzie spać, tylko tu mi przychodzisz? Żeby błota nanieść? Zerwałem się szybko i ujrzałem starszego mężczyznę z miotłą w ręce. „To pewnie dozorca”- pomyślałem.

Mężczyzna przyjrzał mi się uważnie i powiedział już trochę łagodniej:

- Coś mi się wydaje, że się zgubiłeś. Nie trzeba się to było trzymać właściciela?

Oj, trzeba było, trzeba. To musiał być mądry człowiek, bo od razu odgadł, co w trawie piszczy.

Wolno podszedłem do mężczyzny. Usiadłem przy jego nodze i popatrzyłem mu głęboko w oczy.

Chciałem go w ten sposób przeprosić, że nieco zabrudziłem sprzątaną przez niego sień, i dać mu do zrozumienia, że zaraz sobie pójdę. Żeby się na mnie nie gniewał. Mężczyzna zrozumiał.

- Dobra, w porządku. Nie nabrudziłeś wcale. Poczekaaj, przyniosę ci trochę mleka.

Dozorca poszedł w głąb sieni i po chwili wrócił. W ręce trzymał miskę z ciepłym mlekiem i wdrobionym w nie chlebem. Postawił ją na ziemi koło kaloryfera i pogłaskał mnie szorstką dłonią.

87

- No, zjedz i zmiataj stąd. Życzę ci, żebyś szybko odnalazł swoich.

Tym razem mleko wydało mi się cudownym nektarem.

Podziękowałem mu bardzo, bardzo serdecznie i za mleko, i za jego dobroć.

Wylizałem miskę z wielkim apetytem i zaraz poczułem się silniejszy. Razem z wypitym mlekiem powróciła nadzieja.

Jeszcze raz podziękowałem energicznemu machnięciem ogonka i wyszedłem na ulicę. Zaczęło się już trochę rozjaśniać. Rozejrzałem się uważnie, czy nie dostrzegę czegoś znajomego. Niestety, nigdy w tej okolicy nie byłem. Z bram domów wychodzili nie znani mi ludzie, tu i tam pokazywały się nigdy dotąd nie widziane pieski. Nie czas jednak na zawieranie z nimi znajomości. Czeka mnie ciężkie zadanie. I sam muszę się z tym uporać. Powędrowałem więc przed siebie.

Było zimniej niż wczoraj. Chwycił mróz, stopniały śnieg zmienił się w kłujący lód i trudno było po nim iść. Początkowy optymizm z wolna zaczął się ulatniać. Zacząłem iść coraz szybciej, potem nerwowo biec. Ślizgałem się, wpadałem ludziom pod nogi, umykałem przed ostrymi wymówkami, nie reagowałem też, gdy ktoś pytał, gdzie tak biegnę.

Teraz, kiedy wspominam tę historię, zdaję sobie sprawę, że biegłem właściwie już bez celu, że ten ruch był mi potrzebny, żeby zdusić rozpacz, żeby jeszcze wierzyć, że odnajdę moich

88

bliskich. Biegłem tak przez cały dzień. Nie wiem, skąd wzięłem na to siły. Mróz się wzmaczał, łapy miałem poranione od pokruszonego lodu, byłem głodny, robiło się znowu ciemno, a ja biegłem przed siebie nic nie czując, o niczym nie myśląc i nie wiedząc, dokąd i po co tak bez zastanowienia pędzę.

Kiedy całkowicie opadłem z sił, przystanąłem wreszcie. Nie wiem, jak długo tak pędziłem i gdzie się znalazłem. Rozejrzałem się więc dokoła. Znajdowałem się na nowym osiedlu. Ale niestety, nie moim. Choć wszystko było bardzo podobne do mojego. Wokół wysokie domy, między nimi małe uliczki, trawniki, place zabaw dla dzieci, huśtawki, piaskownice. Tylko że to były domy innych ludzi, a huśtawki i piaskownice innych dzieci.

Usiadłem na lodowatym śniegu. Los mnie chyba prześladuje! Znowu straciłem dom i bliskich, kochanych ludzi. Wiem, wiem, tym razem to moja wina. Zgubiła mnie, psia kostka, moja własna lekkomyślność. Bez zastanowienia przecież pobiegłem za śliczną i dobrą Perełką. A teraz straciłem także i ją. Bo jeśli nie mogę trafić do własnego domu, to nie trafię również do Perełki. Byłem zrozpaczony. Dużo bardziej niż wtedy, kiedy wygonił mnie ojciec Tereski. Teraz straciłem dużo więcej. Dawniej żyłem sobie beztrosko, właściwie z dnia na dzień, oprócz Tereski nie kochałem nikogo. Teraz należałem już do stada. Miałem swojego pana, panią, dzieci. Kochałem ich i oni kochali mnie. Gdzieś tam było moje posłanie, moja miseczek z dobrym jedzonkiem, moi koledzy,

89

przyjaciele... I wszystko to straciłem. Na myśl o tym serce mało mi nie pękło z bólu. Przysiadłem, zasłoniłem sobie łapą oczy i zaskowyczałem rozpaczliwie.

Długo szlochałem, ale instynkt życia był silniejszy ód rozpaczki. Zacząłem szukać schronienia. Był jakiego. Żeby się tylko skryć przed coraz silniejszym mrozem. Dowlokłem się do schodków prowadzących do jednego z bloków, pod którymi było sucho, i tam, zrezygnowany, padłem na ziemię.

I następny dzień miał się ku końcowi. Widziałem wracających do domów ludzi. Kobiety szły niosąc torby z zakupami, mężczyźni prowadzili za rękę dzieci. Pewnie z przedszkola. Starsze dzieci otwierały gwałtownie drzwi do klatki schodowej, które z hukiem się za nimi zamykały. Z wolna przestrzeń między domami pustoszała. Robiło się ciemno. Na granatowym niebie zaczęły zapalać się gwiazdy. Znak, że idzie duży mróz. Ale wszystko to było mi już zupełnie obojętne. Nie obchodziło mnie zimno, głód, zmęczenie. Chciałem umrzeć. Bo co mi po życiu bez moich najbliższych? Straciłem nadzieję. Leżałem pod schodami tak skulony, że mnie nie było widać. I pewnie dlatego nikt do mnie nie zagadnął, nie spytał, co tu robisz. Widziałem kilka piesków, które biegły szybciotko do domów. W najbliższym piwnicznym oknie zobaczyłem kota. Siedział nieruchomo i patrzył na mnie z wielkim napięciem. Uważnie śledził, czy się nie poruszę, czy mu nie wejść w paradę.

90

- Nie wiem, jak się nazywasz, kotku, i co myślisz o mnie. Ale chcę cię zapewnić, że nie mam wobec ciebie złych zamiarów. Nigdy nikomu nie chciałem zrobić krzywdy-wyszeptalem bardziej do siebie niż do niego.

Ale kot zrozumiał. Przymrużył oczy i kiwnął głową. Bo koty wiedzą wszystko.

Minęła noc. Nadal leżałem bez ruchu pod schodami. Niech zamrznie! Nie wstanę, żeby wyprostować kości. Co mi tam! Nie obchodziło mnie też, co się dzieje dookoła.

A na osiedlu zaczął się normalny poranny ruch. Ludzie wychodzili do pracy, do sklepów, pieski na swój pierwszy spacer, dzieci, wesoło pokrzykując i ślizgając się po zamrzniętych kałużach, biegły do szkoły. Jakiś pan przyniósł kotom piwnicznym jedzenie. Zapachniało rybą. Ale wszystko to działo się jakby poza mną. Skostniały z zimna i osłabły z głodu byłem już tylko na wpół żywym obserwatorem.

Minęła godzina, może dwie lub trzy. Straciłem poczucie czasu. Nagle podszedł do mnie jakiś duży

czarny pies. Przystanął kilka kroków od schodów i patrzył na mnie. Nie ruszyłem się. Co mnie obchodzi pies? Może mnie zagryźć. Nie będę się bronił. Pies nie zdradzał jednak złych zamiarów. Stał i przyglądał mi się w milczeniu. A niech tam. Może się przyglądać. Może w ogóle robić, co chce. Spróbowałem obrócić się pyskiem do ściany, żeby nie widzieć ani psa, ani nic innego, ale okazało się, że jestem niezdolny do najmniejszego ruchu. Nogi miałem sztywne jak patyki. Zgięty grzbiet nie chciał się wyprostować. Składałem się chyba z samego lodu. Hmm, widziałem psy z futra, ze sztucznego misia, z plastyku, ale z lodu? Wy na pewno też nie widzieliście lodowych psów. Założę się, że nie. A ja byłem z lodu. No i proszę bardzo. Mogę być z lodu. Co mi tam, pieska twoja niebieska. Tylko niech mi się ten czarny kudłacz tak nie przygląda. Nie jestem na wystawie-kołatały we mnie resztki życia.

Wtedy czarne psisko pomału podeszło i ułożyło się bez słowa obok mnie. Bardzo blisko, prawie na mnie. Nie rozumiałem, czego chce. Ale prawdę mówiąc i to mnie nie obchodziło. Nie odezwałem się ani słowem, a i on też nic nie rzekł.

I tak leżeliśmy dłuższą chwilę, aż poczułem idące od niego ciepło. Psisko przysunęło się do mnie jeszcze bliżej, wciskało mnie prawie w ścianę domu. Potem położyło mi jedną łapę na grzbiecie, a drugą na łbie. Jak gdyby przykryło mnie kołdrą.

- Ciepłej ci?-usłyszałem wreszcie jego głos.
- Cie-cie-ciepłej-wystękałem szczękając zębami.
- Poleżymy tak jeszcze trochę, to się całkiem ode mnie ogrzejesz. Mam takie gęste futro, że nie wiem, co to jest zimno.
- Dziękuję, dzie-ku-ku-ję - wydygotałem i siebie to jedno słowo.

Nie mogłem wydusić nic więcej. Drżałem jak w febrze, a na skórze pod sierścią czułem lodowate igielki. Jak mi potem

93

wyjaśniło czarne psisko, był to znak, że odmarzam. Bo ja przed chwilą byłem już po prostu zamarnięty i nie czułem nic. Można mnie było kłuć szpikulcem, bić kijem-nic.

Czarne psisko otulało mnie swoim futrem, chuchało na mnie ciepłym, ba, gorącym oddechem, aż uczułem, jak pomału, bardzo pomału wstępuje we mnie, a raczej wlewa się we mnie z powrotem życia. Krew zaczęła mi krążyć w żyłach, mogłem już poruszyć łapami, a nawet ogonkiem.

Mój wybawca odsunął się trochę ode mnie i powiedział:

- Jeszcze przez chwilę cię pogrzeję, a potem musisz wstać i wyprostować kości. Musisz się poruszać. Inaczej nie przetrzymasz ani doby dłużej.

- Nie zależy mi-odpowiedziałem.-Straciłem wszystkich i wszystko, nie mam po co żyć na świecie...

- Rozumiem cię. Ja też przeżyłem kiedyś coś podobnego. A jednak teraz cieszę się życiem. Jak ci na imię?

- Pikus.

- A mnie Misiek. Wstań i zmusz się do biegania. Jak trochę się poruszasz, to znowu porozmawiamy i zastanowimy się, co robić.

Misiek mówił stanowczym głosem doświadczonego psa, więc mnie przekonał. Wstałem z wielkim trudem i starałem się zmusić moje łapki-o których pewien bardzo wspaniały i mądry pan, przyjaciel pani Marii i pana Jana, powiedział, że są jak

94

frędzelki-do stawiania kroków. Nigdy jednak nie miałem takich trudności. To nie były łapki, to były po prostu sztywne patyki. Czy można chodzić na patykach? Może Wy to potraficie, ja nie. Zaraz na wstępie rozłożyłem się jak długi.

- Poliz sobie łapy, to ci pomoże-nakazał Misiek. Łatwo mu mówić. Ale jak się dostać do moich patykowatych łap, kiedy i grzbiet, i kark również miałem jak z drewna.

Misiek pokręcił wielkim, kudłatym łbem i podszedł do mnie. Sam zaczął mi wylizywać łapy i masować całe ciało. Tak mnie orał pazurami po grzbiecie, aż bałem się, iż wyrwie mi wszystkie kudły. Ale po tym masażu wstałem łatwiej i udało mi się zrobić parę kroków.

- Jeszcze, jeszcze, szybciej, pobiegaj-dyrygował Misiek.
- Nie mogę-zajęczałem.
- Musisz móc-surowo stwierdził Misiek.-Dalej! Zabieraj się do biegania! Leć do trzepaka i z powrotem! I to tak szybko, jak tylko potrafisz.

Zrobiłem, jak kazał. Ale koń by się uśmieł z mojego biegania. Nie prześcignąłbym ani żółwia, ani nawet ślimaka.

Kiedy przemierzałem tę tł"ąsjęApo raz czwarty, spostrzegłem, że moje nogi niosą mnie już całkiem nieźle. Wróciłem do Miśka i oczekiwałem uznania. Nic z tego. Zamiast pochwały usłyszałem rozkaz skakania przez niziutki płotek okalający miejsce zabaw dla dzieci.

95

- I jeszcze raz! I jeszcze! Dobrze! Tylko nogi podnoś wyżej-komenderował Misiek. Szło mi coraz lepiej.

- Dosyć. Chodź no na klatkę schodową, tam jest ciepło. Opowiesz mi, co się stało.

Po wysłuchaniu mego opowiadania Misiek pokiwał głową i rzekł:

- Och, ty głupolu. Żeby tak stracić głowę! Trzeba będzie opowiedzieć wszystko mojej pani, może ona coś poradzi. Teraz musimy tu na nią poczekać. Poszła po zakupy. A wiesz, że to trwa. Wszędzie kolejki.

- Jakie to szczęście, że spotkałem właśnie ciebie. Dziękuję ci z całego serca. Mam przecucie, że będzie dobrze, chociaż ja jestem bardzo pechowym psem.

- Powiedziałbym raczej: działającym bez zastanowienia-wtrącił Misiek.

- To też. Ale stale tracę swoich bliskich. Już-już mi się wydaje, że znalazłem wreszcie własne miejsce w świecie, a tu figa. Albo fatalny los w postaci złego człowieka, albo moja niefrasobliwość całe życie wywracają mi do góry nogami. Wiesz, tym razem naprawdę chciałem umrzeć. Kiedy pomyślę, że mógłbym nigdy nie zobaczyć Ani, Piotrka, pani Marii i pana Jana, to jeszcze teraz wolę chyba umrzeć...

- Nie gadaj głupstw i nie roztkliwiaj się nad sobą. Musisz

96

być twardy jak bokser. Ja też przeżyłem straszną historię. I też spotkałem ludzi, którzy postąpili ze mną okrutnie. Jeszcze gorzej niż z tobą. I też prawie umierałem z wycieńczenia i nie widziałem żadnej nadziei. A teraz mam wspaniałe życie. Spotkałem takich ludzi, że jak ich poznasz, to zwariujesz z zachwytu.

- Opowiedz, jak to było.

- Jak już pewnie zauważyłeś, jestem starym psem. Od małego szczeniaczka wychowywałem się u bardzo dobrych i miłych ludzi. Mieszkaliśmy w małym domku na peryferiach miasta. Był tam ogródek, kurnik, w którym hodowali parę kur, kot Burek, z którym zawarliśmy pakt pokoju, i syn tych państwa, Ziutek. Ziutek już był dorosły. Pracował jako technik samochodowy, potem się ożenił, sprowadził swoją żonę do domku i wszyscy żyliśmy dosyć spokojnie. Ziutek ze swoją żoną trochę się kłócili, trochę kochali i tak mijał czas. Aż któregoś dnia zachorował ojciec Ziutka i, niestety, szybko zmarł. W niedługim czasie odeszła też na zawsze matka Ziutka. Bardzo za nimi płakałem i tęskniłem, bo ich kochałem. Ziutek z żoną najpierw sprzedali kury, potem domek, i kupili sobie mieszkanie w mieście. Burka przegonili, a mnie wzięli ze sobą, żebym pilnował ich domu. Byłem wdzięczny, że mnie nie zostawili na pastwę losu, i starałem się być pożyteczny, jak mogłem. Pilnowałem domu, bo oni często wyjeżdżali

7 - Pamiętnik...

97

swoim starym samochodzikiem za miasto. Ziutek był zapalonym automobilistą i marzył o nowym, wspaniałym, błyszczącym samochodzie. Aż pewnego dnia usłyszałem, jak powiedział do żony:

- Mariola, fajno jest. Wreszcie staniemy na nogi. Trafia mi się prawdziwy los na loterii. Nasza firma ma budować fabrykę za granicą. Angażują mnie jako kierowcę. Ty możesz też pojechać i tam pracować.

Mariola rzuciła mu się na szyję i aż piszcziała z wielkiej radości. Cieszyli się oboje, że zobaczą kawałek świata, że kupią sobie wymarzony samochód, a ja cierpiałem na myśl, co stanie się ze mną.

Minęło kilka miesięcy. Nadszedł czas ich wyjazdu, a oni jakoś nic o mnie nie mówili. Aż któregoś popołudnia znowu wybrali się na wycieczkę samochodem. I wzięli również mnie. Byłem zdziwiony, bo zawsze jeździli sami, ale ucieszyłem się. Nie przeczuwałem, jak się to skończy. A moje życie, odkąd umarli starsi państwo i odkąd zamieszkaliśmy w bloku mieszkalnym, stało się bardzo monotonne. Taka przejażdżka była więc wielką radością. Ale nie skończyła się radośnie. Otóż, kiedy byliśmy daleko za miastem, Ziutek skręcił w jakąś boczną, pustą drogę i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, otworzył w czasie jazdy drzwi, a Mariolka wypchnęła mnie z samochodu. Przekoziołkowałem parę razy po piaszczystej drodze, ale

98

nic mi się nie stało. Oszołomiony, początkowo myślałem, że to jakieś psie figle, ale kiedy zobaczyłem, że Ziutek zamiast przystanąć, przyspieszył, zrozumiałem, że w ten sposób wyrzucił mnie nie tylko ze swojego samochodu, ale także ze swojego życia. Początkowo instynktownie biegłem jak głupi za samochodem, chciałem go dogonić, nie wiadomo po co. I tak by mnie przecież nie zabrał z powrotem. Wreszcie padłem zmęczony i zasapany na pobocze drogi, żeby odpocząć i zastanowić się, co mam dalej robić. Teraz, kiedy ci to opowiadam, to wygląda, że wtedy wszystko natychmiast rozumiałem. Ale wcale tak nie było. Nawet kiedy zdawałem już sobie sprawę, co się stało, nie mogłem w to uwierzyć. Przecież my, pieski, kochamy ludzi. Wierzmy im. Wierzmy w nich. Niestety, nie zawsze słusznie. Na szczęście złych ludzi jest o wiele mniej niż dobrych, jak się przekonałem.

Nie będę ci opowiadał szczegółów mojej prawie półrocznej tułaczki. Był to bardzo ciężki okres. Żyłem tym, co rzucili mi ludzie z łaski, i tym, co znalazłem w śmietnikach. Tak, do tego doszło, że musiałem grzebać w śmietnikach, żeby znaleźć jakieś stare skórki chleba, kości, zgniłe kartofle. Żyłem jak ostatni nędzarz. I nie było mi łatwo. Nadeszła zima. Często bywałem nie tylko głodny, ale i zmarznięty. Chowałem się, gdzie się dało. Po piwnicach, sieniach domów, w pozostałych na polach stogach siana. Aż przyszła taka noc, kiedy się poddałem. Nie miałem już siły walczyć z trudnościami. Mróz był siarczysty, tak że zmarzłem jak ty dzisiaj. Byłem

7»

99

prawie sztywny, w moich żyłach chyba już i krew zamarzała. I też tak jak ty pomyślałem: „Bardzo dobrze, dość się namęczyłem”. I wtedy przyszedł ratunek. Pewnej nocy z kamienicy, obok której koczowałem, wyszła pani w narzuconym na szlafrok płaszczu, zbliżyła się do mnie i rzekła: „Od dłuższego już czasu obserwuję, jak się tu błąkasz, biedaku, a teraz zobaczyłam przez okno, że zmarześ na kość i że zginiesz, jeśli zostaniesz dłużej bez dachu nad głową. Wahałam się z zaproszeniem cię do mojego domu, bo mamy bardzo stareńką kotkę, która pewnie będzie wściekła, że przestanie być jedynaczką. Bardzo ją rozpieściliśmy, dlatego jest taka samolubna. Ale

100

przed chwilą wytłumaczyłam jej, że musi cię przyjąć. Wprawdzie niechętnie, ale zgodziła się. Więc chodź ze mną”.

Z początku chciałem od tej pani uciec. Tak długo już byłem bezdomny, tak długo nie obcowałem z ludźmi, że zdziaczałem, bałem się wszystkich, no i jej też. Nie wierzyłem jej. Wszędzie podejrzewałem podstęp.

Uratowało mnie to, że nie byłem w stanie się ruszyć. Pani podeszła do mnie bliżej, chwyciła mnie za sierść na karku i sztywnego prawie siłą zaciągnęła do mieszkania.

A muszę jeszcze dodać, że rozegrało się to w samym środku nocy pewnej bardzo mroźnej i smutnej zimy. Moja pani nie mogła spać, wyglądała sobie przez okno i zobaczyła zdrewniałego pieska, czyli mnie, i chociaż bardzo się bała nocy, wyszła na dwór, żeby uratować mi życie.

W przedpokoju zobaczyłem pieszczochę domową-starą kotkę. Patrzyła z wściekłością, prychała, grzbiet wygięła, ale dotrzymała słowa. Nie ruszyła mnie.

Pani pogroziła jej palcem i rzekła:

„Kiciuniu, to jest teraz twój towarzysz. Bądź dla niego miła i dobra. Pamiętaj, co mi obiecałaś”.

Jeszcze przez jakiś czas patrzyła na mnie wilkiem, ale wkrótce widać jej się znudziło, bo zawróciła do pokoju, gdzie ułożyła się w kłębuszek na fotelu, więcej na mnie nie zwracając uwagi.

101

Do kotów byłem przyzwyczajony, bo, jak pewnie pamiętasz, w lepszym okresie mego życia mieszkalem już z kotką i żyłem z nią w zgodzie. Z czasem i z Kiciunią stosunki nasze ułożyły się zupełnie poprawnie. Stale jednak podkreślałem, że to ona jest tu najważniejsza i ma największe prawa. Trochę jej się też podlizywałem, przewracałem oczami z zachwytem, że niby taka piękna i mądra. A kotka, jak każda kotka, wszystkie te moje cygaństwa łykała jak gęś kluchy i mruzczała zadowolona.

Moi nowi państwo okazali się wspaniałymi ludźmi. Dobrymi, wesołymi i kochającymi ludzi i zwierzęta. Pani stara się dawać mi zawsze pyszne jedzonko, jak mówi, a pan chadza ze mną na długie spacerki.

Widzisz więc, że nigdy nie trzeba tracić nadziei-kończył Misiek. -Kiedy ci się wydaje, że nie może być już gorzej, że już nie ma wyjścia-wszystko najczęściej odwraca się na dobre. Ja żyję sobie obecnie tak, że w niebie nie mogłoby być lepiej. Oto moja historia ku pokrzepieniu twojego serca. - Oj, namęczyłeś się i ty, biedaku-powiedziałem.-Cieszę się, że spotkała cię nagroda za wszystkie cierpienia. Zasłużyłeś na nią. Może i mnie przyniesiesz szczęście. Już nie marzę, że odnajdę moją ludzką rodzinę, ale żeby chociaż trafił na jakichś poczciwych ludzi... Może twoja pani zna takich? Bo na cud to ja już nie liczę.

A właśnie cud się zdarzył.

102

Kiedy zobaczyłem panią Matyldę, przyjaciółkę pani Marii, myślałem, że to sen, zwiady, fatamorgana.

A to była najprawdziwsza rzeczywistość.

Misiek, merdając wesoło ogonem, podbiegł do pani Matyldy i coś jej zaczął żywo naszczekiwać. Pani Matylda wysłuchiwała go uważnie, potem rozejrzała się wokoło, jakby kogoś szukając, i wtedy jej wzrok trafił na mnie. Uniosła brwi w najwyższym zdumieniu:

- W imię Ojca i Syna! Pikusiu, to ty? To ciebie znalazł Misiek? Jak tu trafiłeś? Skąd się tu wzięłeś? Co się stało?

Trudno mi było odpowiedzieć na tyle pytań naraz i wstyd mi było wyznać, że sam się zgubiłem przez własną lekkomyślność. Spuściłem więc łeb i milczałem.

Na szczęście pani Matylda moje milczenie wzięła za objaw zmarznięcia i głodu.

Jako osoba praktyczna i energiczna nie ponowiła pytań, tylko kazała mi szybko iść z sobą i z Miśkiem do domu.

Kiedy Kiciunia zobaczyła w drzwiach nie jednego, a już dwa psy, zaczęła tak wściekle prychać, że miałem ochotę zawrócić i uciec, gdzie pieprz rośnie. Przyznaję, że miała powód do wściekłości. Dotychczas była rozpieszczoną i kochaną przez wszystkich jedynaczką. A teraz miłość swoich państwa musiała dzielić z jakimiś przybłędami.

Pani Matylda wzięła Kicię na ręce i zaczęła czule ją

103

głaskać. Kicia trochę się uspokoiła, ale patrzyła na mnie koso, czyli bardzo nieprzychylnie.

- Kiciu, ja sobie zaraz pójdę-szepnąłem do niej, żeby jej się dłużej nie narażać.-Nie bój się.

- No wiesz!-odszepnęła mi Kicia i zrobiła wyniosłą minę.-Ja się niczego i nikogo nie boję.

Tymczasem pani Matylda, jeszcze w płaszczu, podbiegła do telefonu, żeby natychmiast dać znać pani Marii, że tu jestem. Niestety, telefon nie odpowiadał. Widocznie wszyscy już wyszli. Trzeba było zatem czekać.

Nie potrafię opisać mojej radości, jaka mnie wówczas przepełniała. Znalazła mnie pani Matylda, przyjaciółka nie tylko pani Marii i pana Jana, ale również i moja, bo ona jest przyjaciółką wszystkich psów. Wkrótce miałem zobaczyć Anię, Piotrkę, panią Marię i pana Jana! Właściwie to w jednej chwili zapomniałem o moich przeżyciach ostatnich dni i nocy: że nie jadłem, że zamieniłem się w sople lodu, że w moim sercu, głowie, w całym moim ciele i duchu panowała wyłącznie rozpacz, że nie chciałem już żyć. Teraz myślałem tylko o tym, że wrócę do ukochanego domu, że spotkam moich sąsiadów, położę się na moim posłaniu, no w ogóle wrócę do mojego rajku. Przysięgałem też sobie, że nigdy, ale to nigdy nie zrobię nic bez zastanowienia i zawsze będę

słuchał rad starszych i mądrzejszych. Jak ktoś głupio postępuje, słusznie zostaje ukarany.

Przekonałem się o tym na własnej skórze. Ale też

104

ta długa włóczęga przez mroźne i groźne miasto będzie dla mnie stale ostrzeżeniem. Jakież to cud, że skończyła się szczęśliwie, czyli nastąpił happy end!

(Nie wiecie, co to znaczy happy end? A nie powiem Wam tego. To po angielsku. Uczcie się języków, to zrozumiecie.)

Pani Matylda wytarła mnie porządnie do sucha grubym ręcznikiem, postawiła przede mną miseczkę kaszy ze skwarkami, którą pożarłem w okamgnieniu. Potem rozłożyła w ciepłym kąciku posłanie z koca i powiedziała:

- Musimy poczekać, aż pani Maria i pan Jan wrócą z pracy, a dzieci ze szkoły. Wtedy zatelefonuję do nich i z pewnością natychmiast po ciebie przyjadą. Więc prześpij się teraz.

Umościłem się wygodnie na posłaniu. Było mi coraz cieplej i rozkoszniej. I z głową pełną cudownych myśli o przyszłości zapadłem w krzepiący sen.

Co się działo, co się działo, tego ucho nie słyszało, tego oko nie widziało - tak można by powiedzieć o chwili, w której wpadli do domu pani Matyldy Piotrek i Ania. I oczywiście pani Maria. Ania chwyciła mnie w objęcia, całowała, głaskała, śmiała się, płakała, złościła na mnie i pokrzykiwała na przemian:

- Jak mogłeś tak postąpić? Co to za włóczęgostwo! Czy ty nie masz serca? Dwie noce nie spaliśmy przez ciebie! Szukaliśmy

106

cię wszędzie! A ty sobie gdzieś przepadłeś jak kamień w wodę. Coś ty robił? Gdzieś ty był?

To była cała Ania. Mówiła tak dużo i tak szybko, że nie pozwoliła mi w ogóle odpowiedzieć. A

wierciła się przy tym i podskakiwała, że tylko kucyki fruwały jej dokoła głowy. Myślałem, że dostanę oczopląsu. Z dziewczynami to zawsze tak - jakby powiedział Piotrek. Nie dogadasz się.

Piotrek w pierwszej chwili też rzucił się na mnie z o-krzykami radości i wyrzutów, ale zaraz potem zaczął mnie bronić:

- No co? No co? Czy Pikusiowi nie wolno odejść ani na chwilę? Nie jest małym szczeniakiem i widocznie nie mógł postąpić inaczej, co, stary? Pewnie zachciało ci się bawić w Indian albo poszukiwacza skarbów? Nie? No, to dlaczego nie wróciłeś z mamą do domu?

Miałem się przyznać, że straciłem głowę dla Perełki? Piotrek by mnie tak wyśmiał, że chyba bym osiwił. Zrobiłem więc minę starego wygi, co to z niejednego pieca chleb jadł, że widocznie musiałem tak postąpić, że to tajemnica...

Z Anią i Piotrkim jakoś się udało. Ale nie z panią Marią. Pani Marii nikt nie oszuka. Tylko spojrzysz i wszystko wie. Nigdy na przykład Ani i Piotrkowi nie udało się ukryć najmniejszego przewinienia w szkole, dwójkę czy uwagę.

Pani Maria najpierw powitała mnie bardzo serdecznie, a potem popatrzyła mi uważnie w oczy i rzekła:

107

- Nie będę cię wypytywać o nic ani nie będę ci też opowiadać, co wszyscy przeżyaliśmy, kiedy się zgubiłeś. Ale proszę cię, żeby się to nigdy nie powtórzyło. Tym razem szczęśliwy przypadek przywiódł cię tutaj. Ale drugi raz może się to nie powtórzyć. Myślę jednak, że sam już to doskonale rozumiałeś, co?

O tak, tak! Wiem, że postąpiłem jak głupi, nieposłuszny pies, i przysięgam, że nigdy już tak nie uczynię.

I przysięgi dotrzymałem. Nie tylko nie pobiegłem nigdzie bez zastanowienia, ale i nie zrobiłem niczego bez zastanowienia.

Pani Matylda podała herbatę z pysznym ciastem. Wszyscy wypili toast herbatą na cześć mojego odnalezienia się i pojechaliśmy do domu.

Kiedy wpadłem do mieszkania, najpierw obleciałem i obwąchałem wszystkie kąty, jak gdybym chciał się przekonać, że rzeczywiście jestem na swoich własnych śmieciach, a potem runąłem na

ukochane posłanie i zapadłem wreszcie w zdrowy i długi sen. Śniła mi się Perełka. Minęło wiele dni, tygodni, a nawet miesięcy, odkąd wróciłem do domu po mojej niesławnej wędrówce. Początkowo czułem się jakoś nijako. Przepelniało mnie poczucie winy, po

108

nocach śniły mi się jakieś bezdenne piwnice, gdzie straszyły dzikie koty, obludzone góry, po których się z wielkim trudem wspinałem, i miski, dużo pustych misek-wylizanych doszczętnie, bez jednej jedynej okruszynki, która zaspokoiłaby mój głód.

W dzień chodziłem ze spuszczonego łbem, bo stale trapiły mnie wyrzuty sumienia. Ale czas leczy wszystko. Zwłaszcza że moja ludzka rodzina okazywała mi tyle serdeczności i miłości, tak mnie wszyscy rozpieszczali, że nawet chodzili ze mną na spacer w okolice mieszkania Perełki.

Widywałem się z nią zatem dość często i bardzo się zaprzyjaźniliśmy. A więc można powiedzieć: żyć nie umierać.

Dziwię się, że mi się nie przewróciło doszczętnie w głowie, choć byłem tego bliski. Prawie uwierzyłem, że jestem najpiękniejszym, najmądrzejszym i najukochańszym psem pod słońcem i że beze mnie życie Piotra i Ani byłoby bardzo smutne. Sami przyznacie, że od tego wszystkiego łatwo stać się zarozumiałcem.

Na szczęście wmieszał się w to los w postaci malusieńkiego kotka.

Któregoś dnia Ania wróciła ze szkoły niezmiernie zbulwersowana. Zadzwoiła do drzwi jak na alarm. Kiedy Piotrek jej otworzył, wpadła prosto do pokoju, w którym pracowała pani Maria, i nie mówiąc „dzień dobry” zaczęła trzepać tak szybko i niewyraźnie, że nikt nie mógł zrozumieć, co się stało. Każdy mógł

109

za to zobaczyć. Ania trzymała bowiem na ręku maciupieńkiego kociaka. Buraska. Kotek wpił się pazurkami w jej płaszcz i cichuteńko popiskiwał.

- Aniu, mów wyraźnie, o co ci chodzi i skąd wzięłaś tego kociaka.

- No właśnie wam opowiadam. W tym zakamarku koło windy, no wiecie, tam gdzie zawsze jest tak brudno, leżało to stworzonko. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięło. Jest jeszcze bardzo malutki. I nie umie prawie chodzić. Mieści się na mojej dłoni, ooo, patrzcie. No, to co? Miałam go tam zostawić? Trzeba mu dać zaraz mleczka. Na pewno jest bardzo głodny.

I Anka w płaszczu, z teczka w jednej ręce i kotkiem w drugiej, popędziła do kuchni. Za nią oczywiście Piotrek.

Pani Maria westchnęła ciężko, wstała z krzeselka i również udała się do kuchni.

Ja nie ruszyłem się z miejsca i udawałem, że nic mnie nie obchodzi żaden kotek, choćby był wielkości główki od szpilki.

Z kuchni dobiegały mnie różne odgłosy:

- Aniu, to jeszcze koci niemowlak, nie będzie umiał sam pić mleka ze spodka.

- No, to co zrobić?

- Trzeba by mu dać butelkę ze smoczkiem.

- To ja polecę do pani Dzijdusiowej, ona na pewno ma jakiś niepotrzebny albo zapasowy smoczek!-krzyknął Piotrek i

110

Идццщц-ii „„„

zaraz trzasnęła za sobą drzwiami biegnąc do sąsiadki, która miała małego synka.

- Aniu, co ty masz zamiar zrobić z tym kociakiem? -spytała rzeczowo pani Maria.

- No, jak to co? Na razie dam mu mleka, żeby nie zdechł z głodu, a potem naradzimy się z Ewką i Majką. Może pociągniemy losy, która ma go wziąć na zawsze.

Pani Maria ponownie westchnęła i chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła, bo już jak wicher wrócił Piotrek, triumfalnie dierzając w ręce smoczek.

- Mam! Mam!-wrzeszczał swoim zwyczajem strasznie głośno.

Nic mnie wprawdzie to kocię nie obchodziło, ale z nudów poszedłem do kuchni zobaczyć, co się

dzieje.

Ania siedziała na krzeselku, trzymając w objęciach kocię niemowlę, a pani Maria podawała jej butelkę ze smoczką. Malec był jeszcze taki słaby, że nie umiał ciągnąć ze smoczka. A może ten smoczek był po prostu za duży do jego pyszczka? Ale jakoś tam sobie poradzili. Ania początkowo maczała palec w mleku i dawała go oblizywać kociakowi, który w końcu przypiął się do smoczka i zdrowo sobie pociągnął z butelki.

W miarę picia pęczniał jak balon, po czym przytulił się do Ani i zasnął. Na twarzy Ani zagościł cielecy zachwyty.

- Ale on ciepłutki i taki milutki! Muszę mu zrobić jakieś

112

posłanko. Albo nie, niech lepiej śpi na mojej ręce. Będzie mu tak jak u mamy. Ciekawe, kto go tam podrzucił. Ludzie są okrutni! Jakbym takiego, co to podrzuca małe zwierzęta, spotkała, tobym mu tak wygarnęła...

- Ale by się przestraszył-zauważył ironicznie Piotrek.

- A przestraszyłby się, przestraszył...-zjężyła się Ania.

- Dzieci, dajcie spokój, to teraz nieważne. Aniu, rzeczywiście przygotuj dla tego malucha posłanie. Najlepiej mu będzie w pudle po butach. Włóż do środka poduszeczkę z fotela i ułóż tam kociaka. On musi mieć spokój, a ty też masz chyba jakieś zajęcie, prawda?-zdecydowała pani Maria. Coś mi mówiło, że ten kociak tu zostanie. Zanadto się nim wszyscy zajmowali. I rzeczywiście, kotek został.

Jadł jak smok, rósł jak grzyb po deszczu i w ciągu kilku tygodni wyrósł na prawdziwego kociego chuligana. W momentach kiedy nie spał, biegał po całym mieszkaniu tak szybko i psocił tak wiele, aż mi się wydawało, że to nie jeden kotek, a co najmniej tuzin. Co gorsza, zaczął się dobierać i do mnie. Wskakiwał na mnie, ciągnął mnie za uszy, drapał po nosie i gryzł mój ogon. Odganiałem się początkowo od niego dość łagodnie, choć nie czułem dla niego wiele sympatii. Byłem bowiem w tym domu dotychczas udzielnym księciem, baszą tureckim, któremu wszyscy dogadzali. A teraz jakiś koci przybłęda odsunął mnie na drugi plan.

8 - Pamiętnik

113

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym powiedział, że ktokolwiek z domowników okazywał mi mniej miłości niż przedtem. Nie... tak wcale nie było. Wstyd mi się przyznać, ale byłem o tego malucha po prostu zazdrosny. Nie chciałem z nim dzielić miłości moich najbliższych. Chciałem w tym domu panować niepodzielnie. A tu pojawiła się mała kruszyna i zrzuciła mnie z zajmowanego dotąd piedestału, czego nikt nie lubi-jak uczy życie.

Chodziłem więc trochę obrażony na cały świat i ludzi, a kociego malucha omijałem nawet wzrokiem. Chciałem go nie widzieć, nie słyszeć, wyrzucić ze swojej świadomości.

On jednak nie zwracał uwagi na moje wyniosłe miny, ciężkie wzdychania i sztywny krok angielskiego dżentelmena. Całkowicie to ignorował i stale prowokował do zabawy. Kilka razy musiałem go więc surowo skarcić. Ale i z tego nic sobie nie robił. Mianował mnie swoim przyjacielem i towarzyszem zabaw i od tego nie odstępował. Nie pomagały żadne groźby, pacnięcia łapą, warczenia, a nawet karcące poszczekiwanie. Śmiał mi się z tego w nos i kiedy był śpiący, przytulał się do moich zadnich łap i zasypiał, mrużąc jak malutki motorek.

No i zwyciężył. Musiałem go polubić. Swoją wesołością potrafił rozpędzić moje złe humory, a swoim przytulaniem się do moich zreumatyzowanych łap spowodował, że zaczęły mi mniej dokuczać i stały się znowu sprężyste. Wiadomo, kocia skórka-bardzo dobra na reumatyzm. A co dopiero żywa i ciepła.

114

I tak staliśmy się parą prawdziwych przyjaciół. Spaliśmy na jednym posłaniu i jedliśmy z jednej miski. W ten sposób przekonałem się, że życie „jedynaka”, jakim byłem dotychczas, wcale nie jest najlepsze. Dużo milej jest mieć kompana, przyjaciela i współtowarzysza.

I właściwie na tym mógłbym zakończyć mój pamiętnik, bo opowiedziałem tu już wszystko co najważniejsze. Takie momenty i takie zdarzenia, które wiele w moim życiu znaczyły i

które je w jakiś sposób ukształtowały, rozszerzyły moje zainteresowania i pozwoliły poznać i zrozumieć różnych ludzi i różne zwierzęta...

W tym miejscu przypomniałem sobie jeszcze jedną przygodę, bardzo dla mnie ważną. Więc ją opisuję. Myślę, że Was zainteresuje.

Któregoś popołudnia spacerowałem z Anią i Piotrusiem przed domem. Czekaliśmy na pana Jana, który pojechał zatankować benzynę, a w drodze powrotnej miał nas zawieźć na imieniny siostrzenicy pani Marii, pyzatej Oleńki. Łaziliśmy dosyć znudzeni przed domem tam i z powrotem. Piotrek kopał jakieś kamyczki, Anka rozglądała się na wszystkie strony. Nagle powiedziała przyciszonym głosem:

- Słuchajcie, ta trójka bardzo mi się nie podoba. Przyjrzyjcie im się.

I pokazała nam trzech młodych ludzi stojących na krawężniku i rozmawiających ze sobą coraz gwałtowniej. Miałem wrażenie, że dwóch młodszych, jeszcze wyrostków, żądało czegoś od starszego od siebie o parę lat kompana. Mówili coraz bardziej podniesionymi głosami.

Rozróżniałem już nawet poszczególne, zresztą bardzo ordynarne wyrazy. A potem wyrostki zaczęły mocnymi i krótkimi uderzeniami dłoni spychać tego trzeciego na jezdnię, jak gdyby pod koła jadących samochodów. On się jednak nie dawał ruszyć z miejsca i coś im rzeczowo tłumaczył.

116

- To chyba jacyś pijani chuligani-zauważył Piotrek.

- Popatrz, Piotrek, tyle ludzi przechodzi obok, a nikt nie zwraca na nich uwagi. Wszyscy albo się naprawdę bardzo spieszą do domów, albo udają, że ich nie zauważają, bo nie chcą się tym opryszkom narażać. Obrzydliwe tchórze-ostro osądziła ich Ania.

„To pewnie jakieś tam ich porachunki. A może ci dwaj chcą tego trzeciego skrzywdzić?”- zaniepokoiłem się.

Powoli poszliśmy w ich stronę. I wtedy zobaczyliśmy, jak nagle jeden z chłopaków złapał tego starszego fachowym ruchem bandziora od tyłu za szyję, przyciskając mu grdykę jedną ręką, a drugą waląc pięścią w głowę. Kiedy napadnięty upadł na płyty chodnika, obaj chuligani zaczęli go kopać. Kopać leżącego? Zawrzała we mnie krew. I w Piotruku. Puściliśmy się pędem w ich kierunku.

Piotrek krzyknął do Ani:

-Anka, poszukaj milicjanta!-A do mnie: - Pikus, bierz go.

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Jak strzała pomknąłem razem z Piotrkim. Jeden z opryszków na widok Piotrka przyjął już pozycję obronną i pewnie by go poczęstował pięścią, gdyby nie moje zęby w jego łydce i krzyk Ani:

- To wstyd, że nikt nie przychodzi z pomocą napastowanemu przez takich łobuzów człowiekowi! To wstyd! Wstyd!-i zamiast szukać milicji, dalej agitowała przechodniów, żeby nie

117

stali jak słupy i nie pozwalali w biały dzień bić niewinnych ludzi.

I to wreszcie poskutkowało. Kilku przechodniów zaczęło także biec w kierunku tych łobuzów. Wtedy dali nogę. Uciekali tak, że nie można było ich zatrzymać. Nie chcę się chwalić, ale chyba najbardziej przestraszyli się mnie. Kiedy im zacząłem ostrymi zębami obrabiać łydki, szarpiąc spodnie, wzięli nogi za pas, aż się kurzyło. Na ziemi pozostał ich pobity towarzysz. Wyglądał okropnie. Z nosa i rozciętej wargi płynęła krew. Pod oczami rosły granatowe sińce.

Zaczął się z trudem, przy pomocy Ani, Piotrka i jeszcze kogoś gramolić. W końcu stanął na nogi.

- Czy może pan iść? Powinien pan chyba pojechać na pogotowie. Zaraz przyjedzie nasz ojciec, może pana zawieźć.

- Nie, nie, dziękuję. Nigdzie nie pojedę. Nie ma potrzeby. Mieszkam w tym domu. Zrobię sobie okłady i jakoś mi przejdzie - odpowiedziała ofiara swych kumpli.

Ania się temu kategorycznie sprzeciwiła:

- Proszę pana, nie ma pan racji. Powinien pana obejrzeć lekarz. Może to poważne obrażenia. Na początku nigdy nic nie wiadomo. A potem okaże się, że to wstrząs mózgu albo jeszcze coś gorszego.

Ania bardzo pragnęła zostać lekarzem. Stąd zawsze wszystkich chciała leczyć.

- Bardzo dziękuję za pomoc, ale pójdę do domu. Jak będzie trzeba, zwrócę się do lekarza. Jeszcze raz dziękuję -skłonił się niemrawo. ą

- Jednego tylko nie rozumiem - wtrącił Piotrek.-Dlaczego pan się zadaje z takimi bandziorami? Mogli panu dobrze dołożyć. Jakby to była na przykład noc i pusto na ulicach, kto wie, co by się z panem stało.

- Sam tego nie rozumiem. Coś im chyba odbiło. Myślałem, że to porządne chłopaki. Czasem człowiek popełnia głupstwa.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową. Wiedziałem coś o tym.

- Może pana odprowadzić jednak do domu?

- Nie, dziękuję. Sam pójdę.

- Czy na pewno da pan radę?-upewniała się Ania.

- Mam nadzieję. Do widzenia.

Zrobił jakiś dziwny ukłon, odwrócił się na pięcie i poczłapał w kierunku bramy.

- Dziwny ten facet-zauważyła stojąca obok Piotrka pani.-Nie pijany, bo nie czuć od niego wódy, nie wygląda na narkomana, cóż go więc może łączyć z taką żulią? Szkoda, że te łobuzy uciekły.

Trzeba ich było oddać w ręce milicji. Dowiedzielibyśmy się, co to za ptaszki.

- Ważniejsze, że obroniliśmy człowieka. Gdybyśmy ich

Ч&ттшьф

nie postraszyli, mogliby go mocno pobić. A tak, skończyło się niegroźnie-powiedziała Ania.

I miała rację.

Pełni wrażeń pojechaliśmy do Oleńki i tam zabawialiśmy całe towarzystwo opowiadaniem o naszej odwadze.

<<

Mógłbym Wam jeszcze opisać wiele ciekawych historyjek. O zwierzętach, o ludziach, o dzieciach, a przede wszystkim o Ani i Piotrku, o których zbyt mało jeszcze wiecie. Mógłbym też opowiedzieć o wielu ich przygodach... Może się jeszcze za to zabiorę. Ale nie teraz. Raczej późną jesienią. Bo właśnie nadeszła wiosna i wolę chodzić z panem Janem do ogrodu, słuchać, jak ptaki śpiewają, patrzeć, jak rozkwitają kwiaty, przeganiać normice, które robią w ogrodzie wiele szkód.

No, więc żegnam się z Wami na razie, dzieci. Życzę Wam wspaniałych przyjaciół, dobrych stopni w szkole i... miłych snów.